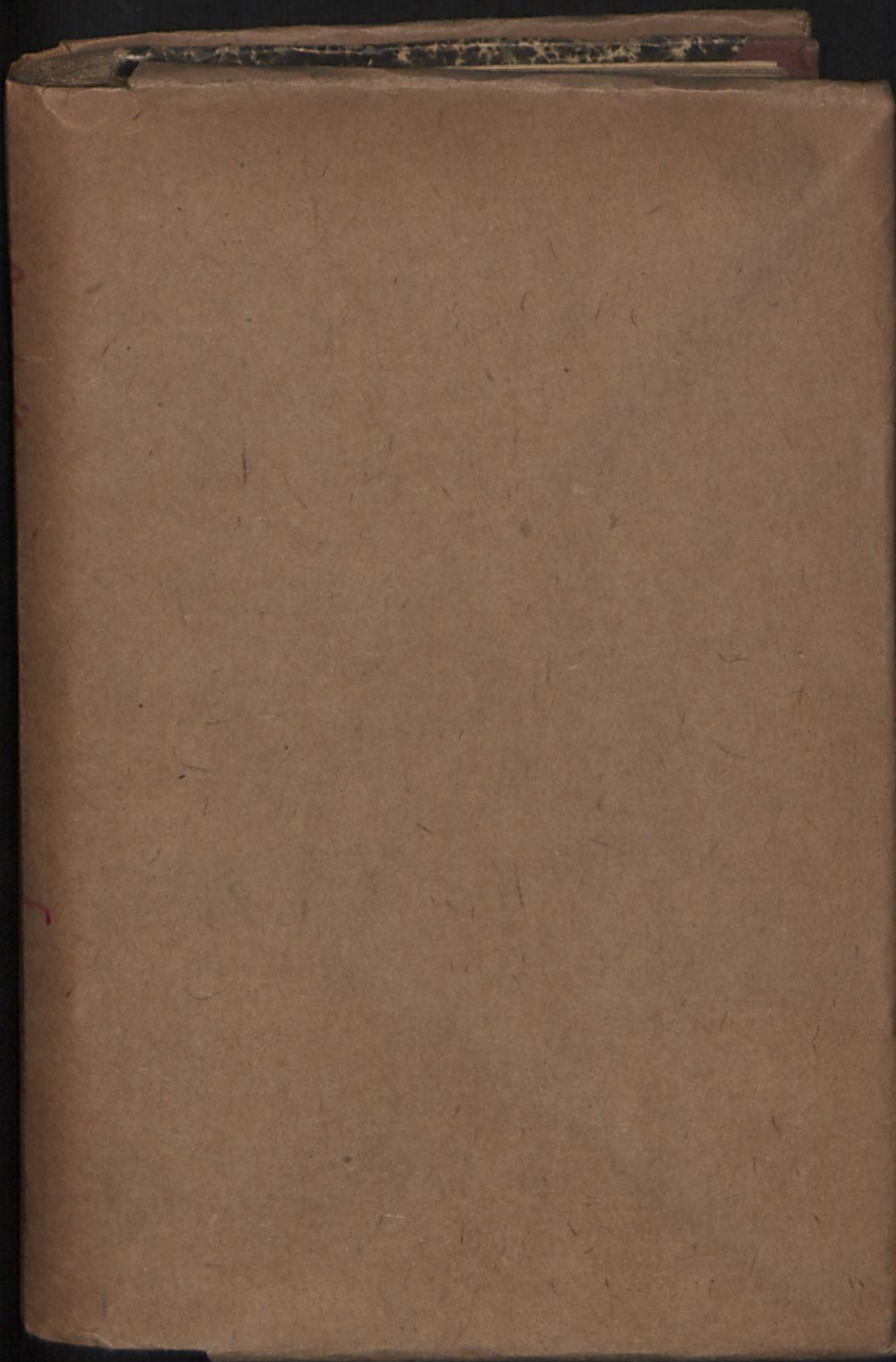
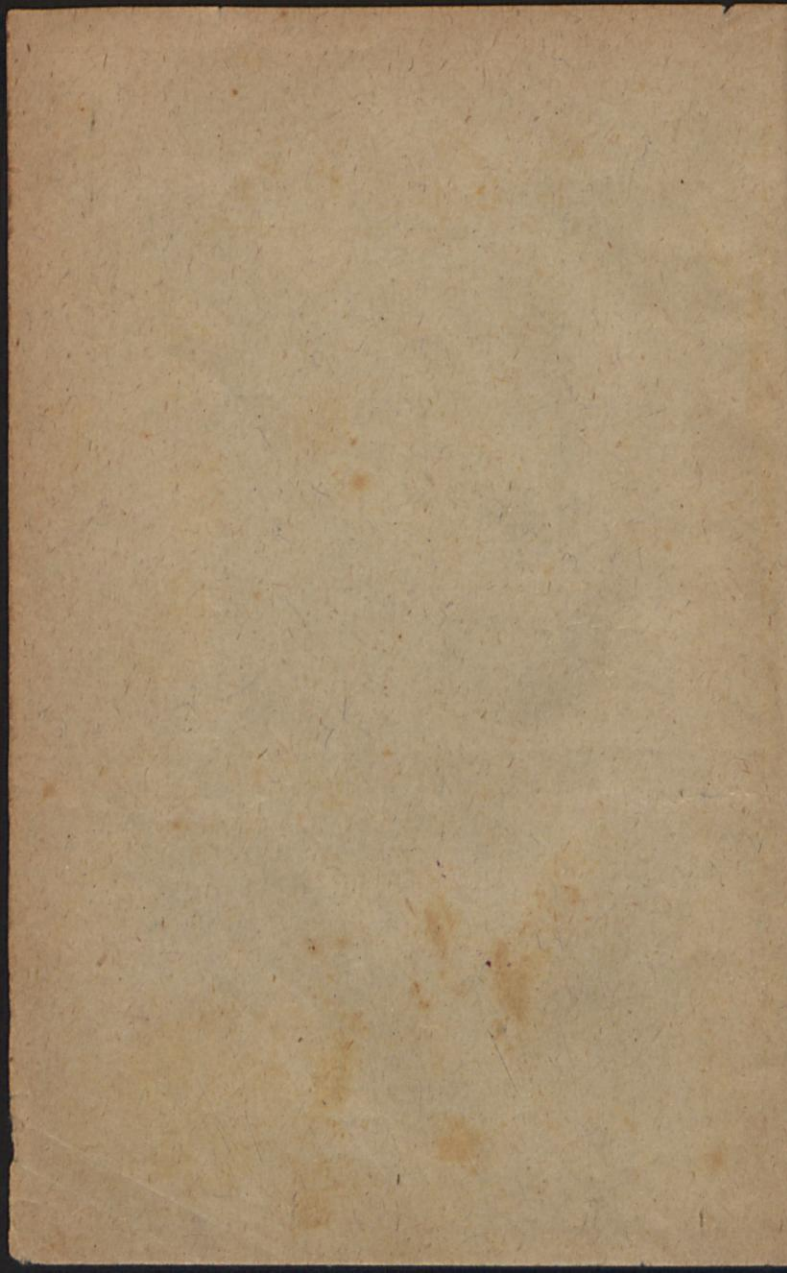






1402



Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

= SZKICE =


2416

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. JANA ZAMOYSKIEGO
w Zamościu

Nakładem Księgarni i Składu Nut
KUNCEWICZA I HOFMANA
Warszawa Marszałkowska 91.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Miejskiej Rady Narodowej
w Zamościu

1402

8-4 ✓

Tet

szlince

5

Księgozbiór BP

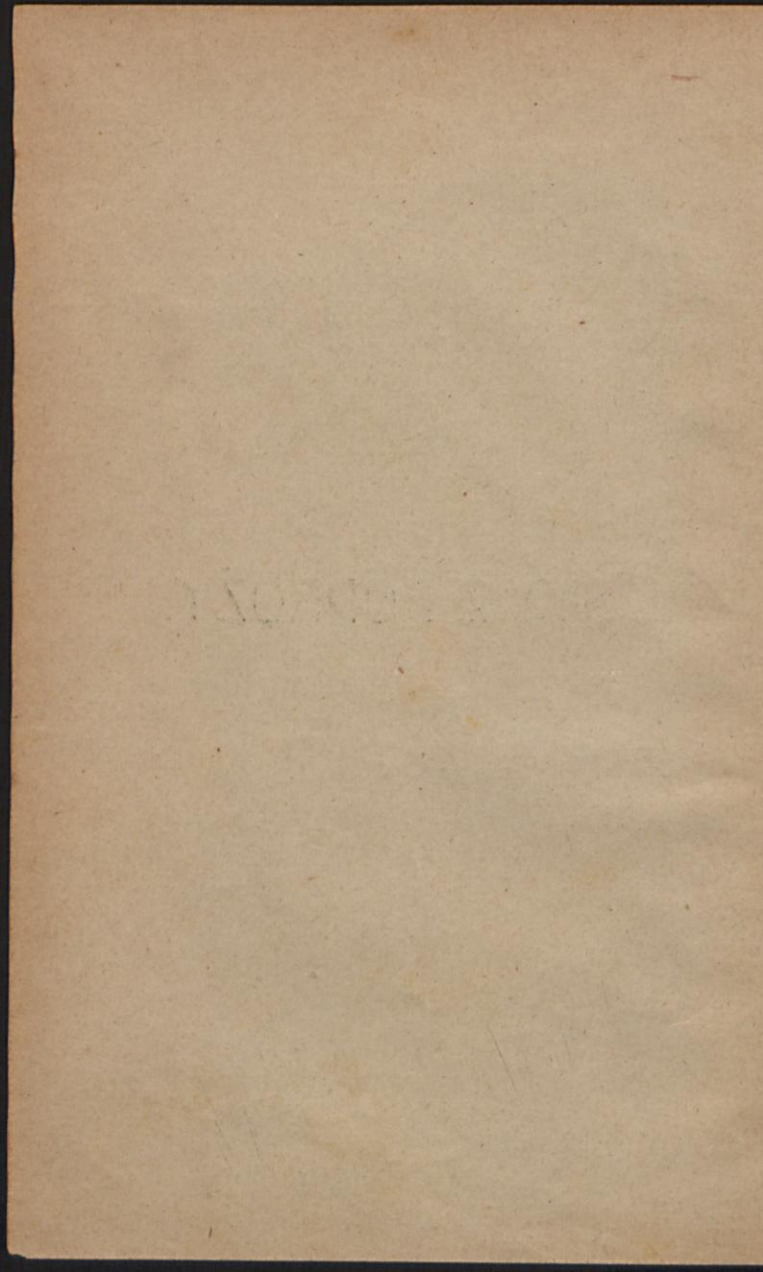


10098932

Zamość ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

13789/P

LISTY Z PODROŻY.



Z ZAKOPANEGO.

(1895).

Żeby to człowiek psiakrew mógł mieć skrzydła! Takby mi się chciało stąd nad włoskie morze polecieć! Bo tu jest bardzo pięknie, prześlicznie — naprzykład: podczas lekkich odwilży leżą na śniegu wielkie plamy złote, że wydaje się, iż za Giewontem gdzieś rośnie jakiś olbrzymi las o złotych liściach, z którego wiatr je poobrywał i na śnieg rozmiótł — ale wszystko to jest zimne, smutne i martwe. Kiedy patrzę na tę niebieską płaszczyznę śniegu, bijącą taką masą światła i blasku, aż oczy lśnią, przypomina mi się ciągle morze, równie świetlne, równie błyszczące, a takie ciepłe, żywe, ruchome.

Pamiętam jeden świt na morzu. Mieszkałem w Neapolu, na Riviera di Chiaja, gdzie mi do okna świecił nocami Wezuwiusz,

a skąd miałem widok na całą zatokę, na Saint Angelo, na Capri, jeden zapewne z najpiękniejszych widoków na świecie! otóż stamtąd widziałem wschód słońca na morzu.

Wychodziło z za gór, które w porannych oparach wyglądały, jak niebieskie mgły, zmieszane z białemi; z za skraju ziemi ukazywały się blaski żółte, pomarańczowe i złoto-czerwone. Niebo od wschodniej strony dziwnie dalekie, subtelnego, przejrzystego, zielono-złotawego tonu, błękitniało powyżej, świecąc w głębi kopuły jedną srebrną gwiazdą, jak świekiem z Chrystusowego krzyża. Trwało tak chwilę, a potem blaski podniosły się nieco i nie zmieniając barwy, poczęły tylko do niej ogień przybierać; promieniały coraz bardziej, aż wreszcie blask ognia przepoił je i nawskroś przelśnił.

Tymczasem na morze, które było dotychczas zupełnie białe, jakby śniegiem mlecznym pokryte, spadł jakoby srebrzysty szron i poczęło świecić. Białe opary zeszły górom do stóp, a te jęły brać w siebie róż i purpurę, stając się u wierzchołków modre i promienne. Raz jeden tylko widziałem taką grę oświetleń porannych na górach.

Wtem padł na morze smug złotego światła i zaiskrzył się, jakby przeleciały wtedy rumaki Pozejdona i iskry z fal kopytami skrze-

sawszy, złoty gościniec zostawiły za sobą. W chwilę potem rozdarła się nagle śniegowa płaszczyzna i trysnął z błękitnej wody blask, jakby pod wodą mieszkwały potworne delfiny, promienne strumienie z nozdrzy rzucające. Na morze poczęły teraz padać złote, czerwone, niebiesko-ponsowe strzały, oszczepy, wielkie tarcze i niezmierne łuki, które w mgnieniu oka zmieniały się w labirynt różnobarwnych, olbrzymich wstęg, w taką zamieć światła, że się zdawało, iż tysiące tęcz, urwanych pod ciężarem swych kolorów, padło na morze i splątało się, jak igrające węże.

Z za gór, jakby od płonącej floty, uczyniła się na niebie łuna i poczęły wybiegać na nie płomienne obłoki, nakształt oderwanych, palących się żagli, które wiatr niesie.

Wreszcie wyszło słońce, wielkie, promienne, słońce, które widywało nagą Dyane i kapąło w swem świetle cudne członki nimf z jej orszaku, słońce, pod którym Shelleyowi ukazywały się wizye z mgły, kryształu i błękitu, słońce...

Hrabina van Loos-Craffen, moja sąsiadka, która miała z takim samym widokiem okno i taki sam balkonik przed niem, jak ja, wyszła i pokazała słońcu swój ładny, nudny i znudzony profil. Zeszedłem z ganku.

Znalazłszy się na ulicy, skręciłem w stro-

nę Pauzylippu. Neapol, oprócz wszystkich piękności i osobliwości, oprócz kapuańskiej Wenery, Pompei i zatoki Bajów, ma jeszcze jedną rzecz piękną i osobliwą — prosty słup telegraficzny, prosty w znaczeniu moralnem, bo naprawdę ten słup jest krzywy zapewne jedyny poetyczny słup z białymi kłoszykami na świecie.

Stoi na wierzchołku jakichś ogromnych ruin nad morzem, przy drodze ku Pauzylipowi; u stóp pną mu się bluszcze i jakieś smutne, jakby zmęczone słońcem, rosną kwiaty; wokoło jest martwość i pustka, gruz i pleśń. Na dole morze srebrno-piane, szumiące morze; po nad niem niebo błękitne, czyste, lazur cichy i jasny. Rzucony tam w przestrzeń, wysoko, ma w sobie ten słup tyle melancholii i poezyi, że można się weń zapatrzyć..

Niema nic rozkoszniejszego, jak włączyć się w słoneczny dzień nad morzem. Można włączyć się miesiąc i nie byłoby to żadnem próżniactwem, tylko ogromnem odżywianiem się imaginacyi. Morze dla ducha jest, jak ów stół niebieski, o którym mówi Katarzyna Emmerich, że Chrystus i aniołowie pożywali zeń, ale nie jedząc: niebieska strawa sama w nich wnikała; tak w ducha, który sam jest bezczynny, wnika z morza pożywienie jakieś mistyczne, jakieś odświeże-

nie sił, regeneracya. Każdy poddany austriacki powinien być na koszt państwa wysyłany raz w rok przynajmniej na dwa tygodnie nad morze Śródziemne; mielibyśmy więcej pogody w duszy i harmonii w myślach.

Nie widziałem nigdy podobnego błękitu wody, jak kiedyśmy płynęli ku Capri. Morze było tak spokojne, że zdawało się, iż statek pruje niezmierną szybę szklaną; nie było ani jednego wypadku choroby morskiej, tylko dwie jakieś stare jejmoście poczęły nagle otwierać usta, jak karpie z sieci wyjęte. Na szczęście statek podpłynął pod Sorrento i zatrzymał się; atak poziewania przeminął, a nim rozpoczął się nowy, staliśmy pod słynną grota, „grotta d'azure“.

Pod sam kadłub statku podbiega kilkadziesiąt wązkich łódek; z pokładu rzucają schodki. Zaczynamy schodzić: po dwie osoby do każdej łódki. Była jedna bardzo ładna amerykanka, ale z mamą... Płyniemy ku czarnemu otworowi groty: wejście jest tak niskie, że musimy się kłaść obok siebie... Amerykanka obok mamy... Wpłynęliśmy; możemy usiąść na ławkach.

Jesteśmy wszyscy w niebie, raczej — na niebie; wkoło nas, pod nami, jest lazur, lazur tak czysty, przezroczy i mocny, że wszystko, cokolwiek się zanurza weń — wiosła,

łódki, nasze własne palce, stają się niebieskie. Słońce fosforyzuje wodę: tysiące iskier zapala się na niej i gaśnie i znów zapala; nad nami jest czarne, głuche sklepienie skały; wyłot groty, im się dalej wgłąb wpływa, wydaje się coraz mniejszy. Nie podobna, żeby tamtędy wydostać się można. Robi się mimowoli na tych błękitach promienistych straszno.

Wracamy na statek, przybijamy na Capri, miejsce, w którym się dusza roztopia, „skrzydeł anielskich dostaje“.

Zbiegłem do stóp skalistej wysepce,

Była cicha godzina poranna.

Woda jasna, szafirowo-szklanna,

Cicho dzwoni u brzegów i szepce.

Jeszcze, zda się, kołyszą się wianki

Róż kwitnących w tej wodzie przezroczej,

Które tutaj zrzuciły z warkoczy

Przed wiekami cesarów kochanki.

Jeszcze zda się, pierzchnąć nie zdołało

Ich odbicie z kryształowej wody,

Gdy się, chciwe swej własnej urody,

Morzu piersią uśmiechały białą.

Jeszcze, zda się, w tej krainie czarów,

Nad tą wodą szafirowo szklanną,

W taką cichą godzinę poranną

Słyszać oddech kochanek cesarów...*)

*) Ten wiersz wszedł później do III seryi „Poezyi“

Nigdy nie zapomnę tej przezroczystej fali w ruinach Tyberyuszowej łaźni. Ileż to białych ciał kąpało się w taką cichą godzinę poranną, a zdumiony Pozejdon, patrząc z rydwanu na toni morskiej, złotym podparty trójzębem, dziwił się i nie wiedział, czy to ziemianki tak piękne, czy Afrodyta z orszakiem, czy kwiaty i obłoki różowe, woła Zeusa zmienione w kobiety?... Zać one bielily się w lazurowej wodzie, biorąc na złote włosy złoty blask słoneczny i rzucając różane wianki na toń...

Ładny, nudny i znudzony profil hrabiny van Loos-Craffen wychylił się z za ściany zgruchotanej Tyberyuszowej łazienki; czas było wrócić na statek.

Nad morzem w Neapolu, od strony miasta ku Bajom, biegnie park, zwany Villa Nazionale, jeżeli dobrze napisałem po włosku.

Lubiłem tam chodzić, zwłaszcza wieczorem. Wezuwiusz, który stamtąd doskonale widać, a który w dzień kurzy się słupem sinego dymu, w nocy wyrzuca z siebie ogromne kłęby czerwonego płomienia*); latarnie rzucają długie smugi światła na wodę, ognie na statkach błyszczą zdaleka, a koło brzegów krążą światła dymiące. Krąży ich czasem kilkadziesiąt, cicho, bez szelestu, bez plusku fali. To rybacy na swych małych łódeczkach. Zwyk-

le jest ich dwóch, czasem trzech w łodzi: jeden na przodzie dorzuca smolnego łuczywa do zawieszonego na kiju ogniska w żelaznym wielkim kagańcu, drugi popycha lekko łódź wiosłem, a obaj patrzą pilnie w wodę. Gdy który rybę wypatrzy, łódka staje, jeden z rybaków bierze żelazny dwuząb na długim kiju i grzmi w niebogą, a potem wydobywa ją z wody, zdejmuje z żelazca i pakuje w coś na dnie łodzi — szaflik, paczkę czy garnek, a może na samo dno rzuca, bo tam wielkich ceremonii z rybami nie robią. I płyną dalej. Znow stanęli. Fantastyczna postać w łachmanach podnosi się, ogień ciska na nią i na morze dziwne światła i dziwne cienie, dwuząb zanurza się w wodę i powraca z łupem. Te ogniste łódki, błędzące wzdłuż Santa Lucia i Via Carraciolo, są śliczne: ale przykro jest na nie patrzeć, jak na każde polowanie, zwłaszcza wodne.

Wszelakim stworom morskim można się do syta nadziwować w słynnem neapolitańskim Akwaryum. Co tam są za fantazyje na temat ryb, co za waryacye na temat małżów, co za ekstrawagancye na temat raków, różnych pajaków, polipów i tym podobnej gawiedzi morskiej: przechodzi ludzkie pojęcie. Jak również przechodzi ludzkie pojęcie niesłychaność, nadzwyczajność, przeraźliwość

poprostu kolorów, w jakie ta wodna gawiedź jest ustrojona.

I co te szelmy nie wyprawiają! Naprzykład są jakieś jamochłony, czy jak im tam: wygląda to jak pęcherz, a płynie w ten sposób, że wchłania w siebie wodę i wyrzuca, a przez ten ruch się porusza. Są znowu takie, prześlicznie utatuowane, które udają sowy: siedzą w szczelinach między kamieniami, którymi im wyłożono baseny, zupełnie z kształtu do sów podobne. Można się zapatrzyć, zwłaszcza, jeżeli ktoś ma wrażliwy wzrok. Jest to zupełnie coś bajecznego.

Niema rozkoszniejszego miejsca do włości, jak Neapol; po jednej stronie Baję, Mare Morto, Pola Elizejskie, Capo Miseno, po drugiej Pompei, Wezuwiusz, Salerno, Sorrento... Czy możecie pojąć, co to jest za czar w tem słowie: włóczyć się?

Ah! włóczyć się bez ustanku
Od wieczora do poranku,
Od poranku do wieczora...

że pozwolę sobie przeistoczyć trochę słowa Żmichowskiej. Tak jest, włóczyć się! Włóczyć się całe życie! Czyż może być godniejszego zajęcia człowieka, wyższego — nad „przesąd“ obowiązków, albo człowieka, któremu nie chcą dać żadnych obowiązków dlatego, że się włóczy?

A jeżeli się już ciało nie zawsze włościć może, niechże się przynajmniej włości duch! Jak ów szalony statek francuskiego poety, co przebiegł wszystkie morza płomienne i świetlne, niech duch przebiega niezmierne morza wyobraźni! Choć, co prawda, jestto wygrać na domowej ruletce *en plein* 180 fasoli za pięć... Wygrało się, tylko że — fasolę.

Nie wiem, dlaczego Pan Tadeusz z *Pana Tadeusza*, w soplicowsko-litewskim zapale napada na cyprysy i porównywa je do „loka-ja niemca we dworskiej żałobie?“ Jest to tak piękne drzewo, że równie piękne są chyba limby nad Popradzkim jeziorem. Kiedy z Monte Pincio spojrzałem przed siebie, zdawało mi się, że śnię, że Boecklin wymalował i te cyprysy smutne i takiej ogromnej melancholii pełne, i te łąki zamyśłone, i te wzgórza w łukach falistych, i to niebo ponure, sinoszafirowe, ponsowymi obłokami przedarte, niebo, które trzyma w sobie burzę, jak lew gniew, a na którym wisiał w przestrzeni olbrzymi płat tęczy, wyrwa z łuku, przepadłego w odęcie szarych obłoków, postrzępiona, jak kolorowy i krwią zboczony sztandar, który wiatr z drzewca oderwał i na powietrzu rozbił. A w dali huczą grzmoty, jak działa... Błysło...

A tam wieczne miasto, kopuła św. Piotra

i awentyńskie ruiny i niebo ciche, przejrzyste i srebrno-błękitne.

Dusza mi tonęła w tym obrazie. Chciało mi się cały ten świat wziąć i wchłonąć w siebie, jak wówczas, kiedym z jednego z tatrzańskich wierchów widział całą przestrzeń widnokregu pod srebrzysto-siwą, nie zmierną mgłą, jakby się jakieś morze wydźwignęło ogromne i legło na skałach spokojne, nieruchome, senne; wysoko w mgławicy bezpromienny, matowy krąg słońca; w dali gdzieś równa nizina, wyłaniająca się z pod mgły, pełna złotego zboża i ciemnych lasów, jak sen; wkoło, w wielkiej, oderwanej od wszystkiego, absolutnej pustyni, gdzieniegdzie sterzące szare szczyty, jak skalne wyspy nad morzem. Potem z podniebnej mgławicy wydarło się skosem słońce i rzuciło z jednego krańca pęk promieni: srebrzysto-siwa przestrzeń powlekła się podblaskiem, jak złotą pajęczyną, szczyty zaróżowiały lekko i zwiewnie i zaczęły się zdawać czemś powietrznem i kołysanem w pustce. W jednym miejscu przedniała mgła: ukazały się ciemne ściany, ścięte, prostopadłe, również powietrzne i jakby rozkołysane. Szły gdzieś w dół; w otchłań. Potem wiatr w innem miejscu mgłę skłębił, zbił i otworzył w niej czeluść przepastną, wśród której przez kilka mgnień oka

zamajaczyła gdzieś straszliwie nisko ciemna toń stawu i stojące nad nią smreki, jak widma... Potem uspokoiło się wszystko; była znów jedna srebrzysto-siwa mgła wkoło sterujących ponad nią szczytów i wysoko, w mgławicy, bezpromienny, matowy krąg słońca.

Bywa piękno idealne, w naturze, w sztuce, czasem w ludzkiej duszy, .. czasem w jednym małym kobiecym sercu, albo w wyobraźni człowieka, który to serce kocha...

Cyprysy na Monte Pincio i te, które widziałem stamtąd, pozostaną mi wiecznie pamiętne; rozumiem, że można się zakochać w Rzymie, że może on się stać drugą ojczyzną. Pamiętne mi też będą cyprysy angielskiego cmentarza, gdzie wśród białych płyt marmurowych jest jedna, z małą brązową harfą obok i wyrytym napisem: *Cor cordium* (serce serc). To grób poety poetów, Shelleya. Na płycie leżało trochę zwiędłych bratków i fiołków. Człowiek ma w sobie dziwne sentymentalizmy: bo naprzód przyszła mi ochota wziąć kilka uwiedłych kwiatków; a potem przyszło mi na myśl, że jednak te bratki i te fiołki są własnością pamięci tego, który je tu położył i pamięta o nich — i nie wziąłem.

Nigdzie, jak tam, cyprysy nie są bardziej dostrojone: ciche, smutne, pełne zamyślenia

i dziwnie uroczyste, jak na owem arcydziele Boecklina, które się nazywa: „Wyspą umarłych“.

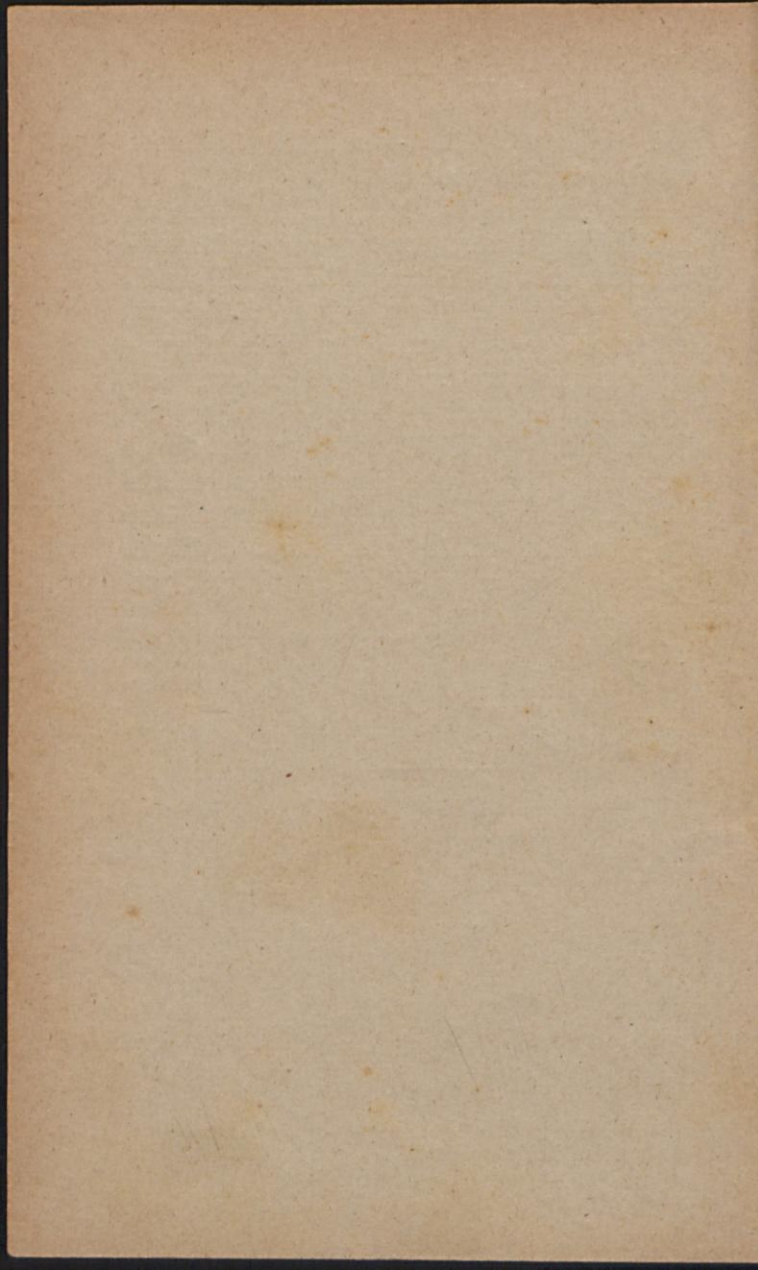
A *propos* malarstwa, spotkałem się w Rzymie z Aleksandrem G....., którego znać mam zaszczyt (G..... nie należy wprawdzie do Jockey-Klubu, nie jest nawet z żadnej hrabianki urodzony — jest tylko wielkim malarzem); chodził, jak w Krakowie, w wysokich butach i pelerynie, jadł *finocchi*, pił marsalę i wymyślał w przepysznej rzymskiej tawernie na filisteryę Warszawy, na mydełkowatość niektórych warszawskich literatów i mydełkowatość niektórych tamtejszych i nie tamtejszych, ale ulubionych Warszawie tak zwanych malarzy. Przez uszanowanie dla jego szerokiej sławy i starszego dosyć, niż mój, wieku, nie śmiałem się sprzeciwiać. Mówił także, że we Włoszech ludzie inteligentni i cywilizowani cenią człowieka nie podług tego, jak się ubiera, ale podług tego, co jest wart. Przez toż samo uszanowanie nie śmiałem mu wtrącić: zupełnie jak u nas, proszę pana. Nakoniec mówił, że tu, czy w Niemczech, czy we Francyi, artysta, czy poeta, nie jest narodową lalką, narodowym wystawowym meblem, z którego sobie naprawdę nikt nic nie robi, ani narodową *bête noire*, na której lada cymbał psy wiesza, dlatego

tylko, że mu sam do pasa nie dorasta. Toż samo uszanowanie nie pozwoliło mi dodać: zupełnie tak i u nas, łaskawy panie.

Chodząc po galeryach watykańskich, gdzie się rzeczywiście oczy émią od marmurów, myślałem sobie: gdybyż to ludzie tak niepospolitych talentów, jak Lewandowski, jak Laszczka, mogli tu co rok na kilka miesięcy przyjeżdżać! Byłoby to dla nich zupełnie tem, czem dla współczesnego dramaturga jest czytanie Szekspira, albo dla kompozytora studia nad Beethovenem, a nawet daleko więcej. Szekspir, gdyby dziś żył, musiałby pisać inaczej, Beethoven zapewne także nie byłby zupełnie taki, jaki jest; ale gdyby twórca Kni-dyjskiej Afrodyty wstał z grobu, czy rzeźbiłby ją inaczej? Czyż wszystkim rzeźbiarzom późniejszym, ilu ich było, nie wyjmując ani jednego, nie mógłby powiedzieć: uczcie się odemnie, bo ja się od was nie mam czego uczyć? Dziwni są ci rzeźbiarze greccy: oni są, jak natura, od której nic doskonalszego być nie może. Jeden Homer, którego *Iliadę* spodziewamy się mieć niezadługo, w nowym podobno i przez Sienkiewicza bardzo chwalonym przekładzie Lucyana Rydla — jest podobny do nich: stoi. Prawda, że i inny był świat... Jeżeli mężczyźni podobni byli do Tezeusza, walczącego z bykiem, a kobie-

ty do Wenus z Milo — mógł być Homer
i mógł być Praksyteles.

Nie wiem czemu, kiedy dziś patrzę na
ten niebieski, zimny, martwy śnieg zakopiań-
ski, marzą mi się Włochy. Zdaje mi się, że
słyszę dzwony św. Piotra, w których każdym
dźwięku zda się wylatywać olbrzymi anioł z pło-
miennym mieczem i spiżową tarczą nad mia-
sto, aż cała chmura tych aniołów zawiśnie
w echu; zdaje mi się, że gdy zamknę oczy
i otworzę, zobaczę znów złociste pomarańczo-
we gaje, palmy o rdzawej, upalnej zieleni
i neapolitańską zatokę słoneczną i błękitną.
I tak mi się chce śniegów i zimna, jak psu
gitary.



Z DESENZANO.

1895.

Jestem nad Lago di Garda, patrzę na góry, które coraz bardziej giną w złowrogich, sinych i różowo-sinych obłokach, i słucham, jak zdaleka burza huczy gdzieś po równinach lombardzkich. Przedemną jest woda cicha, ogromna, prawie zatoka morska. Wieczór...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony,
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Na Anioł Pański biją dzwony, a głos ich płynie gdzieś po wodzie, zda się, że w falach zagiętych kołysze się i płynie, coraz dalej, coraz dalej...

Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Cudowną miałem drogę. Łąki tyrolskie mie-

nią się od kwiatów; zieleń, czerwień, kolory żółte i niebieskie tworzą na nich prawdziwą jakąś muzykę barw, smętną i zadumaną, zwłaszcza gdy to wszystko gra przed oczyma chwilę i mija, wraz z przelotem pociągu. Ponad łakami góry olbrzymie, dzikie, urwiste i przepastne, zawalone śniegiem, buchające rzekami wodospadów, pełne lasów przestronnych i dolin rozległych. Miałem to samo wrażenie, co w przejeździe przez Szwajcaryę: że Tatry są miniaturą gór i że Alpy są od nich o wiele przez swoją imponującą kolosalność wspanialsze.

Burza gdzieś przeszła, robi się chłodniej i fala szeleści, pluska przy brzegu; nad wodą szybują jaskółki. Robi się coraz ciszej. Dzieci włoskie przestały krzyczeć i bawić się na pobrzeżnym kamieńcu, praczki zabrały swoje kłęczniki i bieliznę i poszły do domów, robi się coraz ciszej, coraz ciszej — i coraz smutniej, coraz smutniej, ach! smutno bez dna, bez brzegu, bez granic...

Przewiewa chłodny wiatr, a jakiś różowawy metaliczny blask zesnuwa się na jezioro od zachodu, na jezioro, które ma kolor jednej, ogromnej łyzy.

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...

Przypłynąłem tu dziś statkiem z Rivy. Nagie, skrzesane, czerwone skały, wązki wieg jeziora między te piętra, ze wszystkich stron góry ogromne i niezmiernie puste; wszystko to czyni Rivę, mimo południowej strony świata, pępą. Góry są czasem za ciężkie, nawet dla nas, górali z pochodzenia. Czasem dusza potrzebuje szerokiej przestrzeni, szerokiego powietrza, aby się po niem tulać mogła i przed samą sobą uciekać; czasem potrzebuje takiej łagodnej zieleni, aby się mogła kryć sama przed sobą w gąszczach czasem potrzebuje także takiej cichej wody, która ma kolor jednej ogromnej lzy...

Vogue la galère!... Vogue la galère!...

O tej porze mnóstwo Niemców się żeni i przewłóczy swoje miodowe miesiące po Alpach i Włoszech. Spotykałem takie pary w wagonach w Tyrolu, spotkałem w Rivie, miałem na statku i tu w tej małej włoskiej mieścinie spotykam. Wszyscy są dziwnie ordynarni, bezceremonialni i niezajmujący; mniej-
sza już o to, że co dwudziesty trzeci Niemiec je ryby nożem. Nie żenują się tak, że gdzieś koło Franzensfeste byłem pewny, iż będę świadkiem sceny, o której lubią marzyć młode i stare panny. Byli bardzo blisko siebie i on wśród pocałunków coś jej szeptał. Mówił-że

jej w języku Heinego: „Ty moja, ty moja, ty świecie mój jedyny, ty ukochanie moje najmiłsze, ty umiłowanie, życie moje, duszo moja, kocham cię sercem, kocham cię mózgiem, kocham cię krwią moją serdeczną, ty wszystko moje!?!...“ Dalibóg, nie komponuję: wśród pocałunków i kiedy byli tak blisko siebie, ten Niemiec spytał się swojej Niemki: *Du, was hast du dem Kellner gegeben?* A ona mu wśród pocałunków odparła: *Dreissig Kreuzer, Schatz!*...

On, o ile puszczał ją z rąk, to tylko po to, aby brać do nich Baedekera i czytać jej, ile metrów ma długości który tunel, a jak się która góra nazywa. Ona słuchała i pytała się go, czy nie głodny. Widocznie nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia, bo skoro się nie żenowali „zresztą“, czemuż mieliby się żenować w rozmowie? Jeżeli jemu to wystarcza, tem lepiej dla niego; jeżeli jej to wystarcza, tem lepiej dla niej... *Wahlverwandschaft* przedewszystkiem. Kura z kaczką, czy indyczką zrozumie się łatwo, ale rajski ptak z sokołem nigdy...

Znów gdzieś daleko bije dzwon... Burza poszła stroną, cicho jest i łagodnie. Niezmierzna jakaś melancholia schodzi na świat. O takiej porze—jak to jest u Słowackiego?—jeśli coś mają zapomnieć, zapomną... Czy tak?

Czytelniku, któryś się jeszcze nie ożenił, a ożenisz z dziewczyną młodą, śliczną i dobrą, przyjedź tu, do Desenzano. Będziecie sobie chodzili po gajach nad wodą, która jest nieba kawałem odjętym, a ma w sobie taką senność jakąś, taki spokój niezmierny i cichość. Będziecie sobie tu chodzili, będziesz róże zrywał i dawał jej, a ona przypinać będzie róże do gorsu z takim anielskim uśmiechem... To jest dosyć przykre, jeśli się na całym wielkim świecie niema komu jednej róży dać... Wszak sam Bóg rzekł: źle jest człowiekowi samemu. Ja znam jeszcze jedno słowo, nie tak wielkie, ale smutne, jak śmierć...

Będziecie sobie chodzili nad jeziorem, przytuleni do siebie, rękoma opleceni nawzajem, ona z główką na twojem ramieniu, albo wsiądziecie w łódkę i puścicie się na ten kryształowy sen wód, na te przejrzyste, złotawe lazury jeziora. Będziesz ją miał przy sobie, tę twoją ukochaną, serdeczną, blisko, „bijącą sercem, brylantową w oczach“... Powoli, powoli, ogarnie was jakieś omdlenie. Tobie wiosła wypadną z rąk, a ona pochyli się ku tobie jakby mimowolnie, upadnie ci na piersi i szepnie: „Kocham“... A ty jej wtedy odpowiesz: „Oto serce moje jest w twojem

ręku, jak ptak zmęczony... masz je całe, całe, i możesz wszystko z niem zrobić“...

Bywają różne dusze kobiece, ale są także takie, jak gwiazdy.

Może kiedy który z czytelników siedzieć będziesz ze swoją ukochaną na tej samej werandzie *Hotel da due colombe*, pod bluszczową altaną, w której ja piszę w tej chwili; będziecie sami, bo tam jest pusto. Przypomnę ci się ja, żem ci tu poradził przyjechać, a jeśli znasz moje wiersze, przypomni ci się może moje preludium:

Mów do mnie jeszcze... Ludzie nas nie słyszą,
Słowa twe dziwnie poją i kołyszą,
Jak kwiatem, każdym słowem twem się pieczę...
Mów do mnie jeszcze...

Mów do mnie jeszcze... Za taką rozmową
Tęskniłem lata... Każde twoje słowo
Słodkie w mem sercu wywoływa dreszcze...
Mów do mnie jeszcze...

Mów do mnie jeszcze...

Są chwile takie, jak chwile śmierci—kiedy się wszystko przypomina tak żywo, tak wyraźnie, kiedy słyszysz szelest oddechu i szelest sukien, słyszane kiedyś dawno, dawno, może lata całe temu, kiedy ci się zdaje, że przy dłoni czujesz dłoń, co się jej może lata całe temu dotykała... Odpędzaj takie chwile przyjacielu i *carpe diem*, korzystaj

z dnia, jak radzi rzymski poeta. *Vogue la galère!*...

W jezioro wbiega cypel kamienny, na którego końcu zapalili przed minutą światło na murowanej latarni portowej, — portowej, bo to jezioro ma coś koło 500 kilometrów powierzchni, coś 60 kilometrów na długość. Płynię się też przez nie przeszło cztery godziny z Rivy do Desenzano. Pamiętam jeden efekt światła z drogi. Woda była koło statku tak lazuruwa, że przypominała mi prawie słynną Grotta d'azure w skale kapryjskiej wysepki; dalej przechodziła powoli w ton niebiesko-stalowy, aż koło brzegów zdawało się, że bronzowo-pozłocisty pył giętą tęczą zawisł na wodzie wzdłuż gór, które w nią wbiegły. Na górach niebiesko-szare mgły i wielkie, białe w nieruchomych kłębach obłoki, nad nimi wierchy w łukach i przełęczach i gęste platy śniegu w słońcu. Poza nami srzeżoga, jezioro i skały podcięte i skruszone, ginące gdzieś w oddali, po brzegach tu i owdzie domki białe i cytrynowe ogrody, w piętrach, wśród białych, murowanych słupów.

Po jeziorze w zmroku płynie łódka, bez szmeru, jak sen. Naprawdę! Tu jest bardzo „poetycznie“. To słowo tak dziwnie jakoś brzmi, a jednak wydaje mi się w tej chwili najlepszem określeniem tego, co widzę. I ja,

który to piszę tu, na tej werandzie hotelu da due colombe nad Lago di Garda, w bluszczowej altanie, jak sarkofag, z ogromną wodą pod nosem, z latarnią portową z boku z dzwonami, które tu ciągle dzwonią i z grzmotami, które się gdzieś w wielkiej dali od czasu do czasu odzywają poza mną; będę się tam, waszym czytelnikom, wydawał poetycznym—prawda?

„Mit schwarzen Segeln segelt mein Schiff
Wohl über das wilde Meer?“. *)

O czarnych żaglach okręt mój
W dal dzikiem morzem mknie...

Przez chwilę miałem wrażenie, jakby się jakiś potwór wydobywał z ciemnego już całkiem jeziora. Statek, którego ani widać, ani słyhać nie było, a który tu widocznie przychodzi z Rivy tak późno, począł dawać sygnały, ale głos nie odrazu wyszedł z kotła i w tej ciszy wieczornej rozległ się nagle jakiś potworny jęk, powietrze przedarło jakieś dławienie się czegoś strasznego i olbrzymiego. Mógł by to być jakiś kolosalny hipopotam, o krwawo-czerwonych oczach i krwawo-czerwonej rozdartej paszczy, coś okropnego, co idzie gruchotać, pożerać i topić. Teraz słyhać, jak koła warczą i widać światło — sta-

*) Heine.

tek przybija do brzegu. W powietrzu robi się parno: błyskawica cicha, szybka i zło-wróźbna przemknęła nad Lago di Garda.

A tam u nas o tej porze, w polskiej wsi?... Psy szczekają koło chałup, koniuchy gdzieś na ligawkach grać poczęli na pastwiskach, gdzieś dziewczuchy zawodzą, wracając z pola. Zboże pachnie i szumi, siana pachną po łąkach i sady pachną jabłonne i wiśniowe.

Puszczyk się gdzieś w borze odezwie, albo puchacz nad głową załopoce, żaby skrzeczą po stawach i świerszcze ćwierkają jednostajnie i smutno.

Idą dzieci, cienko śpiewając:

„Kajsi ten mi polecioł,
Co mi butki obiecoł
A dy stoi za lasem,
Tsymba butki za pasem...

Harmonika gdzieś gra, albo skrzypce, albo pan pisarz prowentowy tęsknie gdzieś do panny służącej ze dworu zawiedzie:

Ani ja sieję, ani ja orzę,
Zosieńko moja,
Tylko z twej przyczyny kości w ziemi złożę,
Moja jedyna!...
Tak, z twej przyczyny zmarnie mi wiosna,
Zosieńko moja,
Boś jest okrutna i bezlitosna,
Moja jedyna!...

Tak pan pisarz prowentowy tęsknie zawodzi do panny służącej ze dworu, gdzieś tam po księżycu chodząc pomiędzy chłopskie parkany, tam, u nas...

Może on jest śmieszny, ale pomyślcie, że ja jestem tyle od niego mil, w jakimś zakazanem włoskiem Desenzano i że naprawdę „mit schwarzen Segeln segelt mein Schiff wohl über das wilde Meer...”

Z POD „ŻELAZNYCH WRÓT” I „ŻELAZNEJ BRAMY”.

(1895).

Rzadko komu się zapewne zdarzyło być w piątek jednego tygodnia nad Szczyrbskim jeziorem w Tatrach, a w poniedziałek na drugi tydzień w Orszowie nad Dunajem — ale z człowiekiem dzieje się czasem tak, jak ze szczupakiem, któremu oścień w grzbiet wbity z drzewca się ułame: rzuca on się wówczas z żelazem w sobie to na środek stawu, to na brzeg podpływa, aż go gdzieś wreszcie lichy weźmie.

Nad adryatyckimi błękitami, na lagunach weneckich, zatęskniło mi się za kosodrzewiną i zapachem limbowym, więc choć nie wprost, przecież do nich dobił.

Całe Podkarpacie, czyli raczej Podtatrze od węgierskiej strony nierównie romantyczniej się przedstawia, niż nasze nowotarskie

okolice: góry są większe, dziksze i skalistsze, pełne wspaniałych wąwozów i urwisk, a potężne rodziny Illyezhazych (wygaśli w 1835 r.), Thurzów (wygaśli w XVI w.), Palffych i Erdödych rozrzuciły tam zamki, często ogromne i wspaniałe, czasem małe orle gniazda, przyczepione do krzesaniny skalnej. Okolica Wagu czyni się stąd podobną cokolwiek do nadreńskiego porzecza, z innych względów zresztą całkiem od niego różna.

Zamki te wszystkie są w ruinie, niektóre tak porozpadane i omszałe, że je trudno prawie od skał, na których stoją, odróżnić. Drogi do nich zarosły i pustka w nich osiadła. Mają w sobie wszystkie ogromną melancholię rzeczy umarłej.

Do stacyi Czorda pod Szczyrbskiem jeziorem, przyjechałem nazajutrz po otwarciu tam kolei zębatej, która wiedzie od stacyi nad samo jezioro. Jedzie się nią pod górę zapewne koło trzech kwadransy, z górą bowiem podróż trwa przeszło pół godziny. Dla turystów kolej ta jest wielką wygodą, przytem droga jest bardzo ładna. Jedzie się wykarczowanym lasem, wijącą się w zakręty linią, a nadszczyrbskie góry to się kolejno ukazują nad drzewami, to nikną. Od Krywania i poza nim jeszcze orawskich kopiec, aż po szeroką turnię Kończystej z sterczącym poza

nią skrajem Gerlacha i stokiem Sławkowskiego szczytu: rozwijają się tu Tatry przed oczami. Krótka, Ostra, Solisko, Szczyrbski Wierch, Baszty i Szatan, Czubryn, Mięguszwieckie Turnie, Rysy, Wysoka, Ganek i Żelazne Wrota: piętrzą się tu szeroką ścianą nad doliną Furkotną, Młyniczną, i Mięguszwiecką.

Przyjechałem do Szczyrby wieczorem, a noc była księżycowa, zaraz po pełni. Wielki księżyc wyszedł gdzieś z za Kończystej i sączył się szklanem, matowem światłem na jezioro. Gończe psy, które widziałem uwiązające się nad brzegiem, poczęły zdaleka szczekać: w Młynicy gdzieś odezwało się echo. Poczęło też grzmieć, głęboko w górach. Czyniło to wrażenie, jakby cała zgraja ogarów zagrała w turniach i jakby jakiś tatrzański Ruebezahl, czy jak się tam to alpejskie strzeleckie widmo nazywa, przy psów graniu i grzmiących wystrzałach, mgliste rozpoczął łowy. Głos niósł się ciemną przestrzenią, het, het, aż gdzieś nad wierchy.

Tymczasem pod mojem oknem pluskały się wydry, łapiąc ryby, w jeziorze i chrobały gryzionemi kośćmi, a kuny smyrgały między krzaki.

W słowackich górach, na Liptowej i indziej, niemało grozy dodają puszczyki nawo-

łujące się po lasach: w Tatrach nigdy ich nie słyszałem. Czasem odezwie się inna jakaś sowa, ale i to rzadko. Puhacz tylko niekiedy przeleci cicho, jak upiór i przypadnie w ciemni.

Nazajutrz, choć deszcz lał, jak z cebra, poszedłem ku Popradzkiemu jezioru. Zapachniał mi kosodrzew halny, zapachniały mi limby, zaszumiał mi potok i wiatr... Coś rwie w górę, jakby skrzydła u ramion rosły... Pierwszy raz byłem tu sam, sam jeden. Ty-leśmy tu razy przychodzili z naszych gór, z Zakopanego, huczną, wesołą bandą — teraz byłem sam i przybyłem tu z obcej, dalekiej strony. Dawniej wydawało mi się tu tak odlegle, tak nieswojo, a teraz jest mi tu tak, jak i indziej. I dawniej ciągnęło nas coś z tych urwisk górskich, tu, albo tam; a teraz tak mi jest wszystko jedno... Człowiek staje się, jak ów podróżnik Baudelaire'a — płynie i płynie. Przypomina mi się jakiś wierszyk, który tak o tem mówi:

Dopóki miałem gdzieś dom oznaczony,
A kędyś w obcą zaleciałem dal,
Daleko było mi do mojej strony,
Było mi tęskno i było mi żal —
Lecz dziś, gdy nigdzie niema mego domu,
Równie mi pusto wśród świata ogromu.

Pókim się łudził, że jestem kochany,
Że czyjaś pamięć wszędzie z sobą mam:
Choćbym był zabiegł gdzie na oceany,
Lub w step niezmierny: nie czułbym się sam;
Lecz dziś, po chwili zgasłej bezpowrotnie,
Wszędzie mi równie smutno i samotnie...

A kiedym sobie w kosodrzewinowym lesie,
na głazie śródstrumiennym siedząc, począł
przypominać nasze dawne zejścia do tej do-
liny z wierchów przy huczących śpiewkach
góralskich i hucznem, młodem weselu w du-
szach: zrobiło mi się tak smutno i samotnie,
że wieczorem wsiałem na kolej i z pod Żelaz-
nych Wrót nad Popradzkim jeziorem ruszy-
łem ku Żelaznej Bramie na Dunaju. Bo z czło-
wiekiem dzieje się czasem tak, jak ze szczu-
pakiem, któremu wbity w grzbiet oścień od-
łamie się z drzewca: rzuca on się na głąb
i znowu pod brzeg podpływa, aż go gdzieś
wreszcie lichy weźmie.

Przyznam się, że czy to, że zapomniałem,
czy też może mię wcale o tem nie objaśnio-
no w geografii, ale zupełnie inaczej ją sobie
wyobrażałem, jak wygląda w istocie. „Żelazna
Brama”—a więc myślałem, będą to turnie
z wody sterczące, przez które się Dunaj prze-
rzyna i że te turnie rozsadzono; tymczasem
rzeczywiście rozsadzono, ale skały w wodzie
zaryte i tamujące bieg statków podczas opa-
du głębi.

Pod Żelazną Bramą, która już jest na terytorium serbskiem, a raczej na rozgraniczu terytoryów austro-węgierskiego, rumuńskiego i serbskiego, pod pływa się w długiej łodzi z dwoma wiosłarzami i sternikiem. Ci wiosłarze i sternik są to Turcy. Turcy autentyczni z naddunajskiej wyspy Ada-Kale, co znaczy po turecku wyspa-twierdza. Wyspa ta zamieszkała przez ludność rdzennie czysto turecką, zdaje mi się około 600 głów liczącą, wolną jest od podatków, cła i służby wojskowej, nie należy do nikogo i rządzi się sama. Zdaje mi się, że poprostu podczas kongresu wiedeńskiego w 1815 r. musiano o niej zapomnieć i nie przydzielono jej nikomu; może się mylę, ale nie mam w tej chwili pod ręką ani żadnej historyi, ani austriackiego Baedekera.

Wyspa ta ciekawą jest ze względu na ruiny twierdzy, które ją literalnie prawie całą zajmują. O podobnych rozmiarach fortecy i o podobnej grubości murów nie miałem pojęcia. Ile dziesiątków tysięcy wojska można w niej było pomieścić—nie wiem, sądzę jednak, że w podziemnych i naziemnych kaza-matach drugie tyle mogło się zmieścić jeńców w jasyr wziętych. Twierdza, oblana dookoła wodą, przy swej kolosalności i budowie, musiała być w swoim czasie niezdobyta; na-

to miast pan jej panował nad znaczną częścią Dunaju i jego wzgórzystymi brzegami, gdzie dziś stoją *vis à vis* siebie sztyldwach serbski i austriacki, sympatyzując z sobą mniej więcej, jak kokos z małą.

Ada-Kale jest przedewszystkiem bazarem tureckim. Sądzę, że wszystko to, czego by się nie kupiło w Konstantynopolu lub Damaszku, dla zbytniej autentycznej lichoty, tu się kupuje dlatego, że autentyczne. Są więc tureckie makaty, tureckie papierosy, tureckie sorbety, turecka kawa—są i Turczynki. Chodzą jak nad Bosforem, w szerokich hajdawerkach i przepaskach na twarzy. Czy jest tu jaki harem, nie wiem; meczet jest, bo w nim byłem. Nędzna drewniana buda, z wypisami z alkoranu na ścianach i wieżą, skąd muezzin krzyczy trzy razy na dzień, zwołując wiernych na modlitwę.

O ile Turcy tutejsi, pozostałość z epoki tureckiego panowania w Węgrzech, zachowali swój typ, trudno mi osądzić, widziałem bowiem z blizka jednego tylko Turka, który był krupierem w Monte-Carlo—(Boże mu odpuść, bo ja nie mogę!). Są to wogóle ludzie tędzy i przystojni. Mówią po niemiecku i serbsku, no i—ma się rozumieć—po turecku.

Takich trzech brudnych, odrapanych i smolno-śniadych oberwańców wiozło mnie po Du-

naju ku Żelaznej Bramie. Dzień był tak upalny, że się zdawało, iż Dunaj wre. Nagle zawrzało w nim coś rzeczywiście: woda zakotłowała się, jakby jakiś potwór z dna się dźwigał. Myślę sobie: cóż to u dyabła za straszliwa ryba takie gwałty podwodne wyprawia?! Jeżeli jej przyjdzie ochota huknąć ogniem w łódkę, Turcy pójdą do raju na łono huryszek, a do mnie da się zastosować z Byronowskiego Giaura:

Lecz ty niewierny, ciebie anioł śmierci,
Monkir, swą kosą rozedrze na ćwierci...

Sternik jednak, a zarazem kapitan okrętu i cicerone objaśnia mi, że to pierwsza „Żelazna Brama”—a więc to to—i tylko tyle!

Te żelazne bramy, czyli skały podwodne, trzeba umiejętnie wymijać, gdyż rozbić się o nie, lub wywrócić na nich bardzo łatwo, a jest ich, po prawym zwłaszcza brzegu Dunaju, kupa.

Samą właściwą żelazną bramę rozsadzono już dynamitem, a obecnie *) olbrzymie maszyny, podobne zdaleka do statków wojennych, wydobywają połupane kamienie z łożyska. Roboty, prowadzone przez inżynierów węgierskich, trwają lat pięć. Wymurowano

*) Pisałem w lecie 1896 r.; od tego czasu roboty dawno już ukończono.

kanal na dwa kilometry długi, którym statki w każdej porze, bez względu na stan wody, płynąć będą mogły ku morzu i z powrotem. Dzieło to, które kosztowało masę milionów, ma dla miejscowego handlu olbrzymią doniosłość.

Powrót ku Orszowie mniej jest przyjemny, niż podróż ku Bramie z biegiem fali, albowiem dwaj wioślarze muszą wyleźć z łódki i drepcąc po brzegu, ciągnąć ją na linie, jak u nas na Wiśle konie galary; sternik tylko zostaje na miejscu i długim drągiem kieruje łódką. Dreptanie to trwa parę godzin, ludzie się męczą, a podróżny czuje się skrępowany tą liną tem więcej, że na wodzie właśnie czuje się zazwyczaj więcej swobody, niż na lądzie. Przeprawa z serbskiego brzegu do Orszowy, z rozpiętym żaglem i obu wioślarzami w łodzi, jest prawdziwem odetchnięciem.

Obustronne wybrzeże Dunaju stanowią wzgórza porośnięte zielonymi lasami i gajami. Krajobraz pogodny i słoneczny. Rośnie tu srebrzysta wierzba włoska i mnóstwo egzotycznych roślin i kwiatów.

Czarno i płomiennie-okie rumuńskie piękności spotyka się tu już często w ich fantastycznych, barwnych strojach. Barwność zresztą stroju rośnie przez całe Węgry w miarę

posuwania się ku południowi. Uderzyły mnie szczególnie u kobiet kolorowe fartuchy, puszczane przez brzuch niżej kolan i przez tył niżej łydek, z boków szeroko rozcięte, lub też kolorowe pasma włóczek tak samo przez brzuch i tył puszczane ku ziemi na białych koszulach. Słowiańskich typów widzi się co krok mnóstwo; spotykałem także naszych galicyjskich górali i zagórzan, wracających bandami z robót na Węgrzech. Odznaczają się przedewszystkiem tem, że wyglądają bardzo biednie. Nie widziałem nigdzie biedniej wyglądających ludzi, chyba w okolicach Neapolu.

Jeżeli się trochę świata raz i drugi raz zbiegło, to potem tworzy się w pamięci jakaś mozaika z miast i gór, stepów i pól, jezior i rzek, sadów i winnic, zamków i miast: miło jest sięgnąć myślą wstecz — — — cóż, kiedy czasem dzieje się z człowiekiem, jak z owym szczupakiem, któremu w grzbiecie tkwi odłamane z żerdki żelezce. Wówczas, dopóki licho nie weźmie, wszędzie jest równie „smutno i samotnie“.

Z NAD MORZA.

(1895).

Co to za idealne miasto dla stróżów! Jednych ulic nie trzeba kropić, bo są zawsze mokre, drugich się nie polewa, bo to nie w zwyczaju.

Chciałbym być stróżem w Wenecyi.

Co to za dziwne miasto, gdzie się wodę sodową w koszach rozwozi z fabryki na łodziach, gdzie się mieszkania szuka łódką, gdzie przejść można 358 mostów, i gdzie się nawet spokojnie upić nie można, bo niedość, że mogą zaaresztować, jak wszędzie, ale nadto można się stoczyć w 150 kanałów. Doprawdy, tu się stwierdza maksyma, zdaje mi się, Włodzimierza Zagórskiego: „że gdzie, jak gdzie, a w szynku najbezpieczniej...”

Pełno tu cudzoziemców, przeważnie angiłów i Niemców. Sezon wiosenny jeszcze się nie skończył, a sezon morskich kąpiei na Li-

do już się zaczyna: jedni jeszcze nie wyjechali, inni już przyjeżdżają.

Właściwie w Wenecyi są tylko trzy uciechy: gondole, doskonała muzyka co wieczór na Piazza di San Marco i kąpiele morskie. Poza tem, kiedy się obejrzy pałac dożów i ich grobowce, galerye Akademii i Tycyany po kościołach—to miasto jest jednym z najnudniejszych na świecie. Jest jeszcze jedna uciecha: wieczorne serenady na Canal Grande, dokąd się podpływa na gondolach. Gondola obok gondoli, stoją ich całe rzędy. Włosi grają i śpiewają, a jednak jest cicho; pośród tych pałaców ciemnych i opustoszałych zawsze jest cicho. Coś cmentarnego przewiało nad Wenecją...

W gondolach całe towarzystwo po pięć, sześć osób, albo pary, przytulone do siebie, ciche, zatopione w sobie. O ile śpiew ustaje, pełno gwaru i śmiechu, albo szeptów. Zdaje mi się, że tylko moja jedna gondola bywała pusta.

Kiedy się odpływa od miejsca, w którym śpiewają nad wodą, daleko jeszcze między pałace goni śpiew, załamuje się wśród murów i filarów i przepada gdzieś w pustkowiu.

Gondola płynie bez szelestu prawie i to jest główny jej urok, możnaby tak, zdaje się, dniami całymi dać się kołysać. Tylko przy

takim zupełnym spoczynku, takim bezruchu ciała i takiej fizycznej bierności, myśl zaczyna w dwójnásób pracować, a czasem niema większego nieprzyjaciela życia, jak myśl.

Każdy półsenny ruch gondoli przyniesie może nowe wspomnienie, obudzi cień jakiejś umarłej chwili—i tak płynie się gdzieś w otchłań wspomnień, na cmentarz własnej duszy.

A czasem przypomni się w gondoli coś np. takiego:

Zwei Damen gingen zum Spaziern
In einen schönen Garten:
Die eine wurde gleich—geküsst,
Die andre musste warten...

W Wenecyi trafiłem na uroczysty obchód rocznicy nadania konstytucyi. Domy i pałace obwieszone flagami, ani cienia jednak tej wesołości i swawoli, jaką widziałem kiedyś w dzień rocznicy jakiejś wygranej nad austryakami w Medyolanie.

Tam roily się przedmieścia od bud cyrkowych pajaców, muzyki; tu bito z dział wojennych statków i muzyka przeciągała po ulicach, poza tem nie widziałem nic.

Wieczorem uilluminowano miasto i rzucano elektryczne zielone i różowe światła na kościół ś-go Marka, co w istocie czarodziejski

sprawiało widok. Za każdym rzutem blasku chmury gołębi wylatywały z trzepotaniem skrzydeł nad plac i pałace i krążyły spłoszone, póki blask płonął. Podobnie latają gołębie nad domami podczas nocnych pożarów.

To oświetlenie było prześliczne, ale robiło wrażenie coś teatralnego, jak wogóle cały plac ś-go Marka robił na mnie wrażenie z początku—dekoracyi z opery i musiałem powtarzać sobie, że to nie jest dekoracya, tylko miasto i nie kartony, ale marmury.

Być może, że tyle razy widziało się ten plac lub place na jego wzór robione na scenach, że trudno poprostu opędzić się temu wspomnieniu.

A plac to tak cudowny, zwłaszcza wieczorem, gdy na kolumnady i kościół padają światła i cienie od latarni i księżycy, a na dole czerwienią się kwiaty u kapeluszy całej masy pań, siedzących w cukierniach na wolnem powietrzu. Podczas iluminacyi miało się zdaleka wrażenie jakby ogrodu pośród gmachów i wież.

Zbliżka ogród ten tracił, bo weneCYanki nie są ładne; nie wiem czy przez dziesięć dni mego pobytu widziałem cztery ładne kobiety: są nadto chude i źle zbudowane, wątle; rasę na nich znać, jak na wszystkich włochach. Białe i tłuste niemki wyglądają

przy włoszkach jak kalafiory przy szparagach; oprócz tego wyglądają przy nich, jak służące przy paniach.

Na Lido popołudniu tłum. Żenady tam niema żadnej: panowie w niesłychanie skromnych kostyumach, lub prawie bez kostymów, panie także bardzo swobodnie. Zwyczajnie jak w kąpielach morskich między europejczykami.

Chciałbym widzieć tam jaką naszą stołecznoparafiańską gęś, która wyprowadza swoje latorośle z teatru przy słowach „Emilia uległa,” albo te polskie gąski, które udają, że są tylko po kołnierze i po mankiety, a poza tem wcale ich niema. In unser'n Kleidern stecken wir alle nackt — powiedział stary Goethe.

Anglicy, którzy, jak wiadomo, nigdy nie z nikogo sobie nie robią i wszędzie są, jak u siebie w domu, wpadają w morze całemi bandami, kąpią się razem, śmieją się, biją wodę, panowie biorą panny na ręce i trzymają na wznak na falach — bawią się, jak przy krokiecie, lub lawntenisie. Niemcy, ordynarni, jak zawsze, klepią swoje niemki po twarzach.

Morze tymczasem pokazuje swoje cuda. Pamiętam, że raz wskutek jakiegoś dziwnego układu chmur i słońca, odcięło się od

brzegu w głąb daleko półkole jakiegoś ciemno-szafirowego i ciemno-fioletowego koloru, otoczonego olbrzymim morskim półkřęgiem przedziwnie złocistego szmaragdu, dalej gdzieś przechodzącego w srebrniejący błękit u krańców. Było to zupełnie morze w morzu, zjawisko tak cudowne, że zdumienie ogarnęło publiczność na Lido; rozmowy się prawie w pół słowa ucięły.

Czasem morze było ciche, tylko gdzieś porywały się fale, jakby srebrne łabędzie do lotu, albo całe ich stada.

Wogóle Adryatyk wydał mi się zieleńszym, niż Morze Śródziemne, które np. pod Neapolem bywa zupełnie lazurowe. Niemcy mają swoje specjalne wyrażenie „Neapelkrank“ i rzeczywiście do tej zatoki tęskni się zawsze. Jest przecież jakaś piosnka:

„O Neapolu, precudny kraju,

Kto cię nie widział, nie poznał raj...“

Lido całe, jak ogród, pełne drzew zielonych, jarzyn, owoców i czerwonych maków. Można błądzić po alejach wśród zarośli, w których się całkiem niknie. Zdawało mi się, że to gdzieś z Koprowej, czy Wierchcichej doliny szumi mój wiatr tatrzański. Wiedziałem przecież gdzie jestem, a jednak wybiegałem na wał pobrzeżny z zarośli: to

fale, białe i zielone fale wpadały z szumem
na piasek, to nie był mój tatrzański wiatr,
obce mi morze...

Es ziehen die brausenden Wellen
Wohl nach dem Strand;
Sie schwellen und zerschellen
Wohl auf dem Sand.

Sie kommen gross und kräftig
Ohne Unterlass;
Sie werden endlich heftig—
Was hilft uns das?

Was hilft uns das?...

A pamiętacie zaraz następujący potem
wiersz? To są takie cudowne rzeczy:

Es ragt ins Meer der Runenstein,
Da sitz ich mit meinen Traümen,
Es pfeift der Wind, die Moewen schrein,
Die Wellen, die wandern und schäumen.

Ich hab' geliebt manch schoenes Kind
Und manchen guten Gesellen—
Wo sind sie hin? Es pfeift der Wind,
Es schäumen und wandern die Wellen.

Wo sind sie hin?!

Smutku i tęsknoty niepodobna genialniej
wypowiadać, niż wypowiada Heine:

Wo sind sie hin?!
Es pfeift der Wind,
Es schäumen und wandern die Wellen...
Und sie werden endlich heftig—und was hilft
uns das?! was hilft uns das?!...

Nigdzie nie daje się tak uczuć pustka, jak nad tą niezmierną pustynią, nigdzie żal, jak nad tym głuchym, jednostajnym szumem. Dziwna, przygniatająca jest obojętność tego żywiołu, obcość jego szalona. Tymczasem fale szły i szły, padały na brzeg, rozlewały się kipiąc i cofały wstecz — i ciągle było to samo, ciągle to samo—und was hilft uns das?...

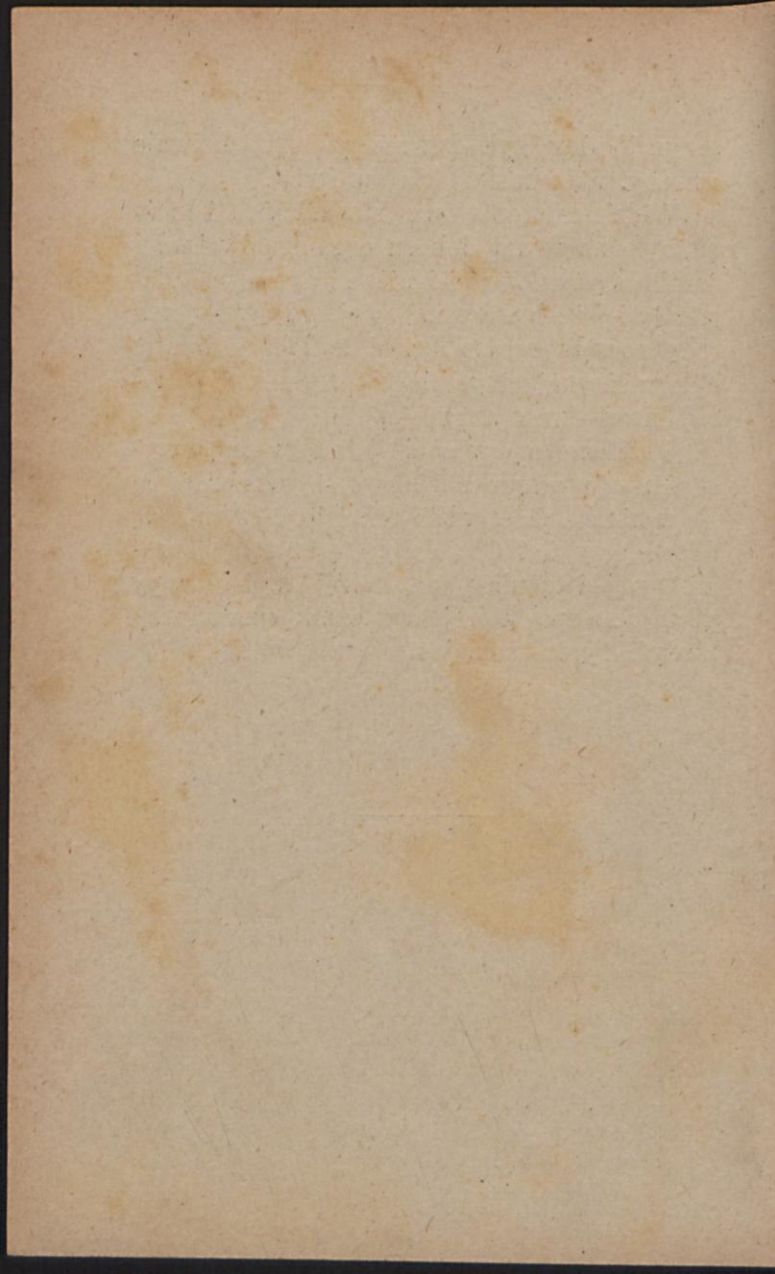
Pojechałem nad inną stronę morza, do Tryestu. Tam jest ono tak ciche, jak jezioro, obmurowane i poprzecinane murami: wielki port handlowy. Mnóstwo statków, okrętów, łodzi. Ruch, hałas, ładują, wyładowują, przypływają, odpływają, handel w całej pełni. Wprost okna hotelu, w którym mieszkałem stał okręt z drzewem; po ułożonych równo, okrzesanych w kanty pniach chodziła mała suczka z młodym pieskiem. Myślałem sobie, że taki byłby w ambarasie, gdyby się go spytano, czem był jego ojciec? Może to był kundys z Fiume a może pudel z Augong? Taki morski pies nie może mieć legitymacyi.

Równie nudnego miasta jak Tryest w życiu nie widziałem. Tylko kasztany tam ślicznie pachną w parku i ślicznie mnie pożegnał: pożegnał mnie morzem wieczornem, ciemno, a bardzo silnie niebieskiem, pod kaskadami chmur, nad którymi był blady [miesięczny

sierp. Widok był dziwnie piękny i dziwnie smutny. Pojechałem dalej w świat.

Widziałem teraz dużo ras ludzkich i można było na temat doboru organizmów i mieszania się typów robić różne waryacje. Zdało mi się, że byłoby najlepiej, gdyby się narody poczęły bardzo łączyć ze sobą. Namby było może najkorzystniej wprowadzać w naszą krew—krew angielską.

Oddalenie ma w sobie jedną wielką przykrość: oto nieraz chciałoby się wiedzieć, co się z kimś dzieje, gdzie teraz jest, czy ma się dobrze, czy źle? Chciałoby się czasem poprostu przejść tą ulicą, po której czyjeś stopy szły, albo po której my sami chodziliśmy kiedyś. Tymczasem jest się tak daleko...



Wyjście w góry.

Wzmagał on się poza wierchami i runął w dół, gorący, nieodparty, nawalny, miecąc tumanami chmur i gęstą, rzesistą siekawicą. Uderzył z taką mocą, aż las pokłonił, ustał i znowu runął. I tak z przerwami, już potem suchy, bez deszczu, obalając jasienie (jesiony) i lipy przy chałupach, rwąc dranice z dachów, króćąc (łamiąc) las, dał przez noc i dzień aż do południa, tłoczył z poza krzesanie kłęby chmur na przewyrt w doliny i krył w pomroce, w mroku chmur, Tatry. A gdy deszcze po nim, mocna wiosenna lić, dwie doby przelały i słońce się zaiskrzyło na niebie, gazdowie z pod Świnnicy i Giewontu uznali, że czas już ku Stawom statek (trzo-
dy) wygnąć, bo śniegi wygięły i Kopa Ma-
góry radośnie zazieleniała.

Było to w początku wielkiego maja (czerwca).

Wzięto się więc do mycia i czyszczenia sprzętu szalaśnego, kotłów miedzianych, pucier, gielet (drewniane naczynie z pałakiem do dojenia owiec), oboniek (płaskie okrągłe naczynie do zwozu mleka), skopców, czerpaków. Juhasi poczęli smażyć w maśle koszule i strugać strzały, naprawiać kołczany; kto miał, to opatrywał rusznicę, lub pistolety na krzemień. Powszechny ruch, powszechna wesołość nastąpiła.

Na wtorek trzy dni przed Zielonemi Świątkami naznaczył bacia dzień miesania (mieszania). Ze wszystkich osiedli w pobliżu Hrubego zegnano owce na polankę przed domem Topora Jasicy, gdzie czekali już na nie bacia Sobek i juhasi. Tam każdy gazda oddawał swoje stadko, a potem zmieszano wszystkie owce razem do wielkiego zagrodzenia, kosharu. Jeden juhas wziął koronkę w rękę, drugi z zagrody owce puszczał, licząc, a gdy krzyknął z orawska: desat! — juhas paciorek różańcowy przesunął. Owiec było tysiąc dwieście, które bacy gazdowie na lato powierzali.

Osobno stały krowy z pasterkami i młode woły z wolarzami, do szalasu należącymi. (Szalas nadawał nazwę tylko pastwisku owiec). Stało i kilkanaście koni, mających lato spędzić na hali.

Z mrócznej szarej mgły wyłaniały się wierchy, bystro słońcem złocone, w pełnem obłoków niebie tonące. Liliowo sine i fioletowe były te obłoki, które wiatr po szafirowem niebie gnał. Bo wiatr dał silny w to rano wyganiania na halę.

Wierchy jakoby się ścigały z obłokami, to miały je przed sobą, to za sobą, to ginęły w nich; to znowu ponad szczytami skłębił się tuman kolorowy, a czasem rozbił się w strzępy i rozleciał właśnie w chwili, kiedy blask słońca ugadzał, jak gdyby złotawy ryś wpadł między stado barwistych cietrzewi, sinogarlic i dzikich gołębi na kępach podkrywańskich.

Mnóstwo bab, chłopów, dzieci zebrało się żegnać juhasów, pasterki i swój dobytek. Matki całowały córki, ojcowie upominali synów, ażeby trzody warowali przed wilkiem i niedźwiedziem, bacy słuchali, ze zbójnikami, jakby przyszli w odwiedzinę, byli grzeczni, co polecali tem więcej, że niejeden z nich sam za młodu „za buczki“ chadzał.

Stara Baganta dawała dziewczkom ziela od uroku, od porobiska, tak dla człowieka jedne, jak dla bydłęcia drugie, nieodbyte, gdy się rozdeptemu świeżą trawą bydłęciu spałstek (kawalek drewna) w pysk kładzie, a boki gniece. Brali i juhasi ziela, srebrne pie-

niażki dając, choć klęte naszyjniki na szyjach nosili.

Ten ów na owce, na statek swój spoglądał, baby krowy po karkach głąskały, osobliwie cieleta przez zimę podrosłe; smutno się im z niemi było rozstawać.

O pogodzie możliwej radzono, lato przepowiadano mokre zrazu, potem aż do jesieni suche i upalne.

Owiec zegnanych do kupy pilnowały już psy wielkie, kudłate, o wilczych mordach, białe, z obrożami kolczatemi na karkach, i obstawili je sobą juhasi zbrojni w ciupagi z brzęczącemi mosiężnemi kólkami na tylcu toporzyska, w kije opalone na czarno, śpierrulce, oblaki bukowe, sękowce ze smreka, siekańce nasadzone krzemieniami, buńkosie, (maczugi obite mosiężnemi kólkami), wesołe brzękiem przy pochodzie, straszące owce, a straszne jako broń.

Na głowach mieli małe kapeluski czarne, okrągłe, płytkie, z wążkiem skrzelem, wysmarowane tłuszczem, z kostkami z morskich muszelek białych naszytymi na rzemyk, lub z mosiężnemi łańcuszkami owitemi do koła dla oporu na wiatr; ten i ów w kołpaku baranim w kształt perski, kostkami, paciorkami, koralikami oplecionym, włosy wymaszczone; na ramiona, od uszu dwie kiecki, hunc-

futy, we warkoczyki plecione, w paciorki i koraliki zdobne, na szyi brembulce, naszyjniki z kamyków, kulek i kawałków mosiądzu; koszula spięta blachą mosiężną z łańcuszkami, trzpieniem przekłuta, od pasa do pachy pas z pięciu klamrami, z ciemnej bronzowej skóry, nabijany świecącemi mosiężnemi i srebrnemi guzami, za pasem noże z trzema bulkami (kulkami) z mosiądzu na trzonku, u poniektórego pistolet. Koszula w maśle usmażana, czarna, połyskliwa, z rękawami rozszerzonymi ku pięści, że gdy chłop stanął, do kolan opadły kutasikami zdobne, krótka, że ledwie z pod pasa nad portkami rąbkiem wystawała, a często gęsto chłop gołym bokiem i brzuchem błysnął. Portki białe, ze zaszczepekami niebieskimi i czerwonymi z włóczki, wąskie, obcisłe, w onycki wpuśczone i rzemieniem okręcone w pół łydki, na stopie kerpiec z jednego kawałka skóry. Przez ramię torby juhaskie z wełny czarnej i białej plecione, frombijami (frendzlami) zdobne, u niektórego rusznica na krzemień, ale z rzadka, zresztą łuki długie i kołczany strzał pełne, zręcznie z łyka szmerkowego plecione.

Ten i ów zaś to kobza skórzana, to piszczałka z wierzbowego drzewa, to fujera, (fujarka), lub trombita długa niezmiernie, czasem na półtora chłopa zdłuść (na długość),

rozszerzona u wylotu; tę osobliwie wolarze miewać lubili. Chłopy same rosłe, smukłe, gdzie niegdzie olbrzym dwie stopy nad sążeń, tu znowu chłop, jak pniak, zebrany w sobie, krótki, a z plecami jak ława. Na ramionach serdaki, guńki białe krótkie, nijako nie wyszywane; ten i ów kożuch na plecy odział.

Przy juhasach młode chłopcy, gońcy, czyli honielnicy, uczniowie na juhasów.

Zaś pasterki miały koszule białe, cyfrowane czerwoną lub czarną grubą nicią na ramionach, spódnice ciemne, wytłaczane w białe kropki, zapaski różowe; nogi w kierpcach tylko nie rzemieniami, ale czarnymi grubymi wełnianymi sznurami, nawłokami, owite, na ramionach chustki, stare guńki ojcowe, stare kożuchy macyne (matczyne). Mało która piechotą, ale okrakiem na koniu na drewnianem siodle, na niem przewieszzone obońki, garnki, skopce, rajtoki (dzieżeczki na mleko), worki z mąką. Tu znowu koń objuczony kotłami żelaznymi do gotowania strawy, sprzętem juhaskim, przyodziewą męską, dziewecką, zapasami we worach. Przytroczona do siodła tu i owdzie rąbanica krótka z szerokim obuchem, wygodniejsza od ciupagi do domowej roboty. Dziewki, co pieszo szły, na długim lejcu konie trzymały.

Dziewki bujne, urodne, piersiste i zaszadziste, aż się spodnica dzieliła. A twarze rozmaite. Jedne podłużne, ciemnowłose, czarnookie, inne o włosach jasnych, oczach niebieskich, krótkie i kwadratowe z mocno wystającymi kośćmi policzkowymi, nosy najgęściej orle, wspaniałe, o wązkich nozdrzach. A tak u chłopów, jak u bab twarze śmiałe, przytomne, myślące, pełne energii i ochoty,

Ruch był. Juhasi oganiali owce do kierdela (stada), a raz poraz który z radości, że już w hale idzie, pokrzyknął, gwizdnął lub ciupagę zberczącą mosiądzem wysoko ponad głowę rzucił, że zawarczała młynćem w powietrzu i w rękę mu z brzękotem spadła.

Stał bacia Sobek jak buk pomiędzy gromadą. Ruszać już trzeba było, bo słońce wychodziło coraz wyżej.

— No cas! — rzekł popatrzawszy na stado uporządkowane i na słońce i na niebo.

I skinąwszy na starego chłopca, który mu kropidło podał i kotlik miedziany ze święconą wodą podstawił: szedł przed nim dookoła owiec, kropiąc je i modląc się o błogosławieństwo i zachowanie od nieszczęścia, poczem, na czoło pochodu wyszedłszy, krzyż ciupagą przed stadem na drodze uczynił i do góry ją ostrzem wzniosł.

Błysnęła stal pod słońce, a to był znak.

— Ostajcie z Bogem!—krzyknął Sobek do pozostających.

— Boże prowadz! Zegnaj *) Panbóg! Z Pa-ne Bóge! — odpowiedziały mu setki głosów.

Zadęli juhasi i wolarze we fujery i trom-bity, zabręczeli na kobzach, gwizdnęli na piszczalkach, zadźwierzeli na gęślach, zazber-czały metalowe kółka przy ciupagach i obi-jane metalowemi obręczkami maczugi; hu-knęli ci, co nie grali, krzyknęły na krowy pastorki i klasnęli w bicz wolarze. Szczek-nęły psy i zatętniał tupot racic owczych i by-dłęcych i tętent kopyt końskich. Ale cudo-wnie, melodyjnie, uroczyście zagrały tysiące spiżowych dzwonków u szyi trzód. I pochód ruszył. Konno i pieszo otoczone stada, wie-dzione przez bacę, naprzód w olbrzymiej wy-dłużonej gromadzie, potem krowy, potem wo-ły, poczęły się sunąć drogą przez Toporową polanę. A wraz rozległo się wyskanie, wysoki krzyk, pasterek i młodych gońców i kilkana-ście głosów, przy jęczeniu fujar i trombit, rzepoleniu gęśli i piszczalkach, przy basowa-niu kóbz zawiodło:

Hej baco nas, baco nas, podź s nami na salas,
popod białe skole na śleobodnom wole!

Hej baco nas, baco nas, powiedz ze nas hore,
bo my uzdajali w turnickak obore!

*) błogosław.

Hej baco nas, baco nas, kielo baranów mas,
kielo mas owiecek, kielo mas dziewecek?

Rozłamał się chór—mężczyźni zaśpiewali:

Hej baco nas, baco nas, nie załuj nam mleka,
my ci przywiedzieme z pod Krzywania byka!

Zaśpiewali mężczyźni, a dziewczki odpowie-
działy:

Hej baco nas, baco nas, nie załuj nam syra,
co jo cie niebedem do rania budziela!

I znowu chłopci:

Hej baco nas, baco nas, nie załuj zynityce,
my ci wybiereme uherskie piwnice!

I dziewczki:

Hej baco nas, baco nas, podzwól zatańcować,
co ci dam, to ci dam—nie bedzies załować!

I znowu chórem wszyscy:

Hej w polany, w polany—kosiar murowany,
murowany kosiar — baca jako cysar!...
Huuahahauuu!

Ale cudownie, melodyjnie, uroczyście gra-
ły tysiące spiżowych dzwonków u szyi trzód.

Szli juhasi, pasterki, trzody, konie z hu-
kaniem, brzękiem, muzyką, śpiewem i cudo-
wną grą tysięcy dzwonków. Rzucane w po-
wietrze i chwytane w rękę migotały ciupagi.
Tonęły w lesie.

Waż jakoby olbrzymi, łuskami migocąc
i brzmiać; wsuwał się w nieprzejrzany, pra-
wieczny las.

Idom...

Aż wchłonał ich głęboki mrok drzew.

Z lasu zaś jeszcze biegła juhaska pieśń:

Hej idom se owiecki, idom se barany,
hej idzie se za niemi juhas porubany!
Hej porubane rence, porubane plecy,
hej wtoze ig porubał? Při dzieweynie w nocy!
Hej dziewczyno kohana, z tysiącą wybrana,
hej pięknie tobie hodzić we krwi po kolana!
Hej gineni skroś tobie gazdowsey synowie,
hej jaze cie pierunem zatrzaśli bogowie!...

Z coraz dalsza, z coraz dalsza słyhać było
jęczenie dalekonośnych trombit i zbyrkotanie
spiżowych turlików i kłapacy.

Powoli wznosił się pochód lasem.

Przepromienne słońce lało się na trawę
i pachnące młode liście drzew, wycinane
w rozmaity, śliczny kształt, nabrzmiałe so-
czystą zielonością i tak wesołe, że „hnet byś
rzók, ize świergotać zacnom, jako sikory le-
śne“. Nawet ciemne igły smreków, jodeł i ci-
sów świeciły się pogodnie.

Wiodła droga jeszcze lasem kęs pod górę,
a. potem na prawó, w perci (na ścieżki)

Tam się owce poczęły wydłużać w nie-
skończony sznur, bo było wązko, po boku się

ledwie juhas pod smreczki przeciskał, albo też w stadzie, pomiędzy owcami z psem szedł. Gęstwa była straszna, drzewo nigdy nie cięte, chraścią, smędlakami (krzakami, suchemi gałęziami) zarośnione i zatrzepane. Tysiąc dwieście owiec wyciągnęło się w białe i czarne sznur, kozy w nim, a za niemi jedna za drugą szły krowy i woły wielkie rogi między gęstwiną przedzierały. Od turlika pierwszej owcy do kłapaca ostatniego wołu dźwięczał i dzwonił spiż na ogromnej śródleśnej, błędnej w zakręty przestrzeni.

Bystrzej i bystrzej pod górę, między stary, choć coraz niższy las, gdzie się już wszelkie inne drzewo traciło, a tylko smreki coraz wyłącziej zostawały, koło potoku, co z Czarne go Stawu szedł, podbijać się począł pochód ku wąwozowi poza Kopą Królową, ku Królowej Hali, od Maćka Króla, co tam pierwszy pasać zaczął, nazwanej. Aż sięgnięto kosodrzewiny i po kilku godzinach cienia leśnego ujrzano słońce i wierchy i ostry górski powiew przyplynał.

Naówczas taka radość owładła serce Sobka Topora z Hrubego, że zabrzęczał nabijaną ciupagą swoją nad głową i wzniósł głos:

Hej idom se owiecki tom stawiańskom pyrciom — drugi wiersz dziesiątki męskich, kobiecych i chłopięcych głosów rzuciły na las;

Hej juhasa niewidać, ino zwonki zbyrcom! —

i powtórzyły raz drugi, jak zwykle.

Baca dobył pistoletu z za pasa i strzelił. Huknęły za nim i inne rusznice i pistolety, zadęto znów we fujary i kobzy, które już nad lasem były, a kto z lasu z instrumentem wychodził, dąć zaczynał, tak, że muzyka rosła i wzmagala się od momentu do momentu.

Wkraczano w dziedzinę szczęścia.

Wtem: is! is! icie go!—ozwały się krzyki.

Czy zasnął w cieple i zbudziły go dopiero strzały i hałasy, czy telo (tyle) śmiały, a ciekawy był: olbrzymi czarny niedźwiedź z karbu pod Królową patrzył. Stał tak zachylony za ubocz, że mu tylko łeb z karkiem i pierśmi i przednie łapy widać było, a cień gruby padał odeń na murawę zieloną.

Przekrzywił łeb, jakgdyby lepiej nastawionemi uszami się przysłuchać i lepiej małemi ślepiami się przypatrzeć chciał, i widniał w górze.

— Hej! Jak to se hań hyrnie*) stoi! — krzyknął któryś z juhasów!

— Erezie! — krzyknął inny, niby jak na owce, chcąc go zegnać.

— Nie byłbyś ty telo durny, kieby haw Sabalas nami be!—zawołał trzeci.

*) wspaniale

Już jednak sześć, czy siedm srogich psów z okrutnem ujadaniem pod górę się po upłazie (ubocznie trawą porośniętym) puściło. Niedźwiedź nie czekał, tylko zawrócił się i znikł za upłazem.

— He! To obieś! Myślał, co se tu będzie wirhował*), jako będzie fciał! — ozwał się Michna, wolarz.

— Wójt halom! Sołtys stawiański! — szedzili juhasi.

Jeszcze raz się niedźwiedź wyżej pokazał na wysiecysku, (miejsce wodą z trawy odartem), między kosodrzewiną ku Magórze i znikł.

— Ale ze je chytry **) — wołano. — Hipce jak jelen. Stracił się psie drewno w pustak!...

Psy przywołane wróciły, a pochód cały posuwał się po stokach Magóry po pochyłej darni, aż znowu na pórć między kosodrzewiną i ogromnemi głazami, co ku stawiańskiemu owczemu szałasowi i krowim szopom wiodła, wstąpił. Pomiedzy wyrosłą kosodrzewiną owce poczęły ginąć z widoku. Sobek, po przodku idąc, wybijał od jesieni tu i owdzie gałęz zamachem ciupagi odtrącał i wiódł, aż się szałas i szopy ukazały.

*) broił

**) szybki

Dolina, dolina; na dolinie sałas,
cemuz mie dziewcyo do niego nie wołas?...
śpiewał juhaś, tańcząc w pochodzie „drobne-
go“ i wywijając ciupagą nad głową.

Wkroczo no w dziedzinę szczęścia.

Poruniło się (zazieleniło z wiosną) pięknie,
gdzie okiem spojrzeć, zielono, tylko na tur-
niach śniegu płaty olbrzymie, w żlebach,
gdzie do cienia, hrubo go jeszcze na chłopą
zwyść (na wysokość).

Jasne białe mgiełki kołysały się nad wier-
chami.

Zmęczone bydło poczęło się zaraz paść ko-
ło szałas i szóp.

Wiatry halne, a osobliwie ten wielki, co
z końca grudnia (z początku listopada) wiał,
porobiły szkody, postrząsały kamienie z da-
chów, a śniegi wielkie, co w zimie, w jag-
weńcie przed gody (w grudniu przed Bożem
Narodzeniem) i potem drugi raz w godniku
(styczniu) ku końcu miesiąca spadły, zgnio-
tły szopy dwie krówskie do imentu (zupet-
nie). Trzeba było naprawiać, ale to się du-
chem przy telik (tyłu) chłopach i wszelkim
sprzęcie potrzebnym z domu zabranym ro-
biło.

Koszary jęto stare naprawiać, nowe sta-
wiać, strągi (miejsca do dojenia owiec) w nich
grodzić. Ożyła hala.

Zapłonęła watra w szałasie bacowskim; gruby zawatarnik (kłat drzewa) z tyłu watry tlał, a smolne drzewo raz po raz dorzucane, trzaskało iskrami i miły, znany, gryzący, gęsty dym szalaśny napełnił wnętrze! Na jadowidze (długim kiju) uwieszonej u żerdzi poprzecznej, pod dachem szałasów z dwu stron przymocowanej, wisiął kocioł a w nim warzyła się kluska z owsianej mąki, bo jeszcze niedojono. Filarowego Józka Bronka od Caji ją gotowała. Na odwiecierz (ku wieczorowi), kiedy owce zegnano do koszarów, poszedł baca do szałasów po żarzące węgle, ziela zbierane na Matkę Boską Zielną i żywicę ze smreków, uzbieraną w lesie w łubek z kory smerkowej wrócił z tem ku owcom, zdjął kapelusz, przeżegnał się i kadząc od zachodu ku wschodowi trzy razy obszedł je w milczeniu, z powagą wielką.

Po trzecim razie wysypał węgle na ziemię przed stragą, korą przykrył i ukląkł, a za nim poklękali na jedno kolano juhasi, w oknach (otworach zagrodowych) stojący i odmówili pacierze do Opatrzności, aby się owce dobrze pały i doły i aby im rzucone przez złych ludzi uroki, porobiska, nie szkodziły, osobliwie przeciw zwartogłowianiu, skolerzeniu (chorobie skurlata, czyli wymienia) i tracelinie (gubieniu się w górach).

Gdy się pomodlili, powstał baca i krzyknął na gońców: Goń! Ci zegnali owce ku oknom, a juhasi wzięli się do dojenia i wypuszczali po jednej ze strągi. Gdy podojono, gońcy zawołali: Dość! Nieg będzie pokwalony Jezus Hrystus! Juhasi przeżegnali się i chuchnąwszy w ręce ruszyli ku szalasowi za Sobkiem bacą. Ten uchylił skrzypiących drzwi i przestąpiwszy próg pozdrowił pustkę: „Nie będzie pokwalony Jezus Hrystus!“

Potem nad naczyniem, w którym się mleko na żentycę przygotowywało, Sobek, zakawsawszy szerokie rękawy koszuli, rozciągnął czystą, cieniutką, lnianą satę, (szmatę), położył na środku jej mały, gruby woskowy krzyżyk święcony i drobnej cetyny, gałązek smrekowych, aby mleko szło z gielet bez brudu i poświęcone.

Gdy zaś i krowy wydojone do szóp zaparto, woły konie i capy polegały na trawie, psy koło nich: zeszli się pasterze do bacowskiego szalasu.

Było tam towarzystwo przebrane, chłop znał do chłopu sposób, (wiedział, co drugi chłop wart), a i dziewczki były nie płone, bo każda obuchem wilka ubić mogła.

Tam oni koło watry siedzieli w dymie dusznym, wędząc w nim gibkie, mocne ciała i pasterskie odzienie.

Na hali zbyrkotały dzwonki, to tu, to tam, to owcze, to wole, to z królewskich szop, ale nie często, bo stace (bydlę) było zmęczone drogą, więc spoczywało spokojnie.

Pies czasem zaszczekał. Było cicho.

Gwarzyli — musieli się na nowo w halę wżyć.

Opowiadał Wojtek Gdowin, co mu matka mówiła, jako mądry na mądrego trafił. Jechali furmani drogą i strasznie się im chciało pić, bo było prawie właśnie gorkie, gorące, południe, a juhas owce pał na upłazie.

Pyta się furman furmana: piłbyś?

— Jybyś pił, kiedyś miał co!

Furman zatrzymał konie, podstawił putnię pod dyszel, sjon (zdjął) huzdę z konia, zawiesił na dyszlu i wzion doić mleko z dyszla z tej huzdy.

Do razu owce staneny (stanęły) na upłazku i zbęcały. He! Skocęł juhas! Zrucil cuhe ze sobie, prasnon na ziom, kie zacnie bić po niej toporzyske!

Ustał ten doić, co doił z uzdy, ba (ale) coż, kie trza było do juhasa jeszcze w pytanie (w prośby), żeby ustał bić, bo się widziało, iże kości w grzibiecie furmanowi wypukajom. Tak wej mądry na mądrego trefił. Wiedział furman owcom porobić, (czarować),

coz, kie i i ten juhas wybity (doświadczony) chłop był; znał się bronić...

Potem, kiedy gwiazdy na niebo wyszły, nocny wietrzyk w kosodzewinie i w poniżnej smreczynie zaszeleścił; poszły pasterki ku krowom na szopy, na strych, spać, a juhasi, baraniarze, wolarze ku koszarom i stadu. Pozapalowali watry godne, od wilka, niedźwiedzia i rysia, wolarze w trombity zadęli raz, drugi, trzeci na odstraszenie i gwieździła cisza od czasu do czasu przedźwiewła dzwonkiem spiżowym, ogarnęła stawiańską halę.

Nazajutrz baca kierdele podzielił: owce, dojki i kozy z najlepszymi juhasami osobno, na najlepsze pastwiska, na Halę Królową, ku Magórze, pod Liliowe, za Zielone, ku Mechom; jarki, jagnięta, barany, capy osobno w Kościelec, w Żółtą Turnię; krowy poszły nad stawki pod Pośrednią i Skzajnią, woły w kosodrzewinę i w las nad potokiem. Konie spędano przy szalasie, aby się nie porozchodziły daleko i wilkom łupem nie stały.

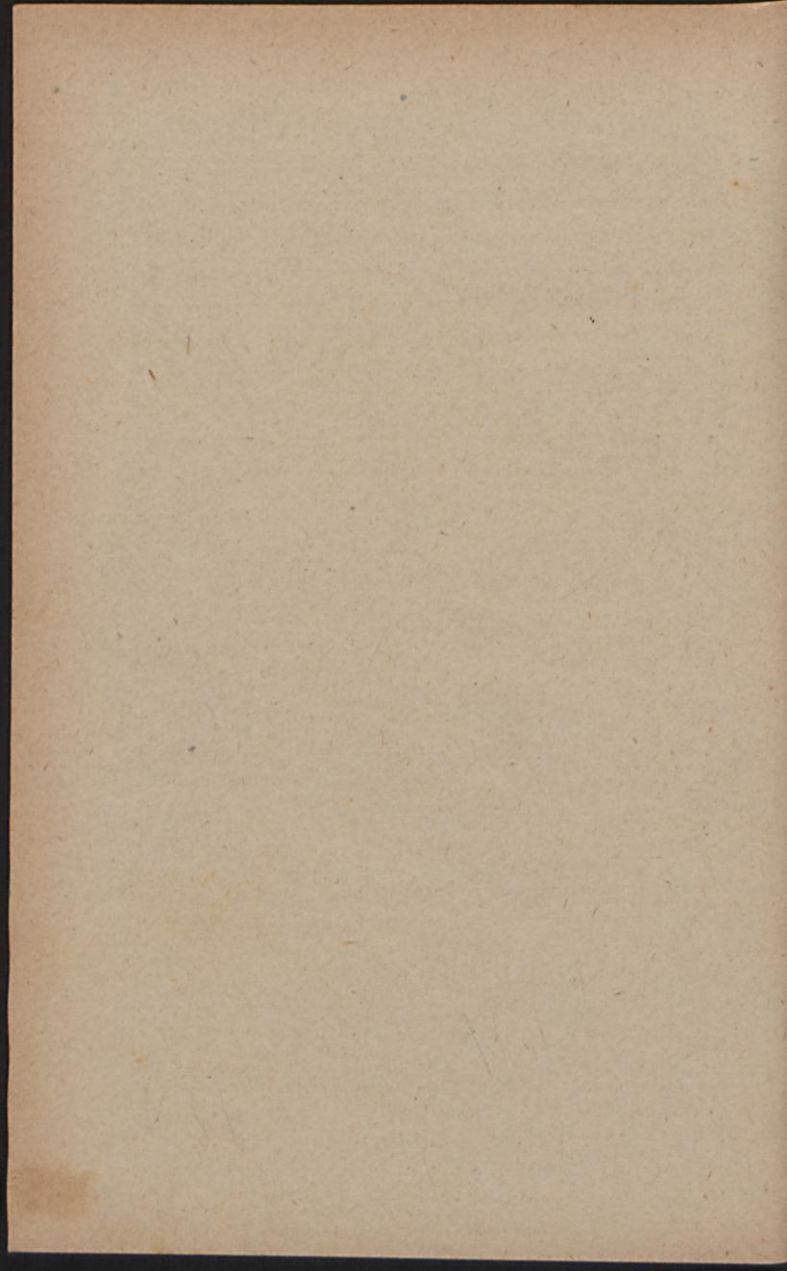
Sam baca warzył żentyce, koło oszczypków (sera) się krzątał.

Zaczął się doroczne życie pasterskie.

Na trzeci dzień po przybyciu na szalas, przyszli gazdowie, właściciele owiec, z dołu do miru (miary). Poszli z juhasami owce paść, a na południe, wróciwszy, sami w strą-

gach owce do swoich naczyń doili. Po wydojeniu każdy do naczynia cienki patyk wetkał i dokąd mleko sięgało, zakarbował, a podług tej miary drugi patyk naznaczył i taki zamirek bacy oddał. Podług obliczenia z tą miarą ser miał baca na końcu lata gaździe odważyć. Niektórzy zaraz popołudniu, niektórzy przenocowali i nazajutrz rano odeszli.

Już teraz przez trzy miesiące blisko nikt się na hali nie spodziewał gości.



Z RUGII.

Hässlich, abscheulich, eckelhaft: wszystko to jest za mało, żeby określić brzydotę pruskich kobiet, jak wszystko jest za mało, aby określić antypatyczne wrażenie, jakie sprawiają Prusacy. Natura nie chciała, aby ktokolwiek wątpił, z kim ma do czynienia.

Sztywna, kwadratowa konstrukcyja Berlina ze śmieszną, ordynarną Siegesallee, o której posągach bardzo dowcipnie ktoś powiedział: was stellen sie eigentlich vor? die einen den linken Fuss, die anderen den rechten; ze swoimi wywatowanymi oficerami, parademarszem i ponurą, brutalną powagą: jest doskonałym obrazem Prus. Jest to najobrzydliwsze miasto, jakie znam, i ile razy tam jestem, to samo odnoszę wrażenie, a jednak, kiedy się zobaczy, że niedaleko Hamburga leży *Grabów*, że Rügen to jest odwieczna słowiańska Rugia: że sam Berlin leży na gruncie słowiańskim,

ogarnia lęk i groza wobec tej siły, która rzeczywiście szła olbrzymią Siegesallee od morza Śródziemnego aż po Bałtyk, aby teraz Unter den Linden mogła wykonywać spokojnie swój Parademarsch.

Jeżeli się rozejrzeć na mapie, ile Niemcy zalali, ile ziemi bezpowrotnie w ich rękach utonęło, jak słabo, bez oporu ustępowali im Słowianie, jak dali się pochłonać, strawić, znihilować w organizmie niemieckim: lęk i groza ogarnia. Niemcy zaś mają żelazną wytrwałość, i ich Parademarsch ma w sobie coś z maszyny, która nie czuje oporu i raz puszczona w ruch, wykonywa swoją pracę bez odpoczynku, bez przerwy, pokonywując opór prawem siły żelaznych kół i potężnych rzemieni rozpędowego koła.

Przedewszystkiem Prusacy muszą schłonać i stopić w sobie pomniejsze ustroje niemieckie. Z Saksonią, Badeńskiem, zdaje się wiele ambarasu nie będzie: odporna dotąd Bawarya chyli się coraz ku upadkowi.

W Austrii Salzburg, Styrya, po części już i Tyrol widzi swoje zbawienie w pikelhaubie pruskiej. Zbici i zjednoczeni w sobie Niemcy, wszystkie plemiona, mówiące germańskim językiem, staną się siłą straszną, gdy nie zjednoczeni i nie sklejeni w jedną całość pokonali tak straszliwie Francję.

Niema też dosyć wysokiej strażnicy, z którejby czuwali słowianie, niema dosyć mocnych wałów, któremiby się zagradzali od niemieckiej fali.

Z dawna ze względów poetyckich ciągnęła mię Rugia. Ciągnęła mię z dwóch względów: raz, że sobie wyobrażałem nadzwyczajnie piękną stronę świata, powtóre, że myślałem, iż znajdę tam jakieś prastare pomniki Słowian, którzy ją niegdyś w swych rękach mieli. Niemcy, których tam spotkałem, obrzydzili mi tak tę wyspę, iż widziałem jej tylko jeden kąt, Sassnitz i Stubenkammer. Jako piękność położenia: nic szczególnego; z pamiętek widziałem jezioro Hertę, niegdyś uroczysko słowiańskie, jezioro w bukowym lesie wśród pagórków, cokolwiek przypominające Staw Smreczyński w Kościeliskiej dolinie, tylko bez gór świecących ponad lasem. Zato nieopodal ma urwisko nadmorskie, 130 metrów ściętych kredowych skał, lecących w morze przeraźliwie prostopadle. Jeżeli sobie wyobrazić jakichś kapłanów pradawnych, jakichś druidów prastarych z brodami do pasa i harfami w ręku, jakichś druidów z „Lilli Wenedy“, schodzących się nad to jezioro, jak duchy, w księżycową noc z pośród odwiecznych, olbrzymich, nigdy nie ciętych buków, aby odprawić ofiarę, tajemniczo kląć i niepojęte

dziś dla nas śpiewać modlitwy; jeżeli się wyobrazi sobie gdzieś tam po lasach zaskoczne brzęczeniem harf i śpiewem starców jelenie, jak podnoszą rogate łby w górę i przystanawszy słuchają, podobne do zadziwionych bogów leśnych; jeżeli się sobie wyobrazi pradawną słowiańszczyznę i pradawny czas, to to jezioro Herty nabiera ogromnej poezyi, staje się czemś świętem, umiłowaniem—i czemś straconem. Tak, tak, to była „wielka rzecz“... Dziś polują tam na jelenie fuersty i grafy niemieckie, żandarm pruski pilnuje porządku, Polacy, których spotkałem w Sassnitz, mówili między sobą po cichu po polsku, głośno po niemiecku. Ba! Przecie w tramwaju rzymskim przypominam sobie panienkę podziwiałą, że hrabia Józef Potocki zapisał się jako Polak w hotelu i że „taki wielki pan, a nie wstydził się być Polakiem“, to znaczy, że ona by się wstydziła, gdyby była takim wielkim panem.

Pokażcie mi gdziekolwiek indziej na świecie taką szlachciankę!

Rugia, jak cała pomorska prasłowiańska okolica, jest stracona. Jeszcze są podobno jakieś niedobitki Słowian w innej stronie wyspy, koło Putbus, ale już dałem za wygraną z odszukaniem ich.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. JANA ZAMOŚCIEGO
w Zamościu.

W ciemne burzliwe noce musi morzem podpływać pod tę wyspę przedwieczny, dawny słowiański bóg, musi wyć z żalu, bólu i rozpacz i wstrząsać brzegi tej wyspy, gdzie mu niegdyś ofiarowywano na dymnych ołtarzach, gdzie miał swój święty chram i swoje święte łanie. Wygnany w morze, utopiony w niemieckim Bałtyku, musi się w ciemne burzliwe noce dźwigać gdzieś z dna, podpływać pod wyspę i wstrząsać nią i wyć, aż zagłuszy go z koszar strasuldzkich dobiegające: „Heil dir im Siegeskranz“...

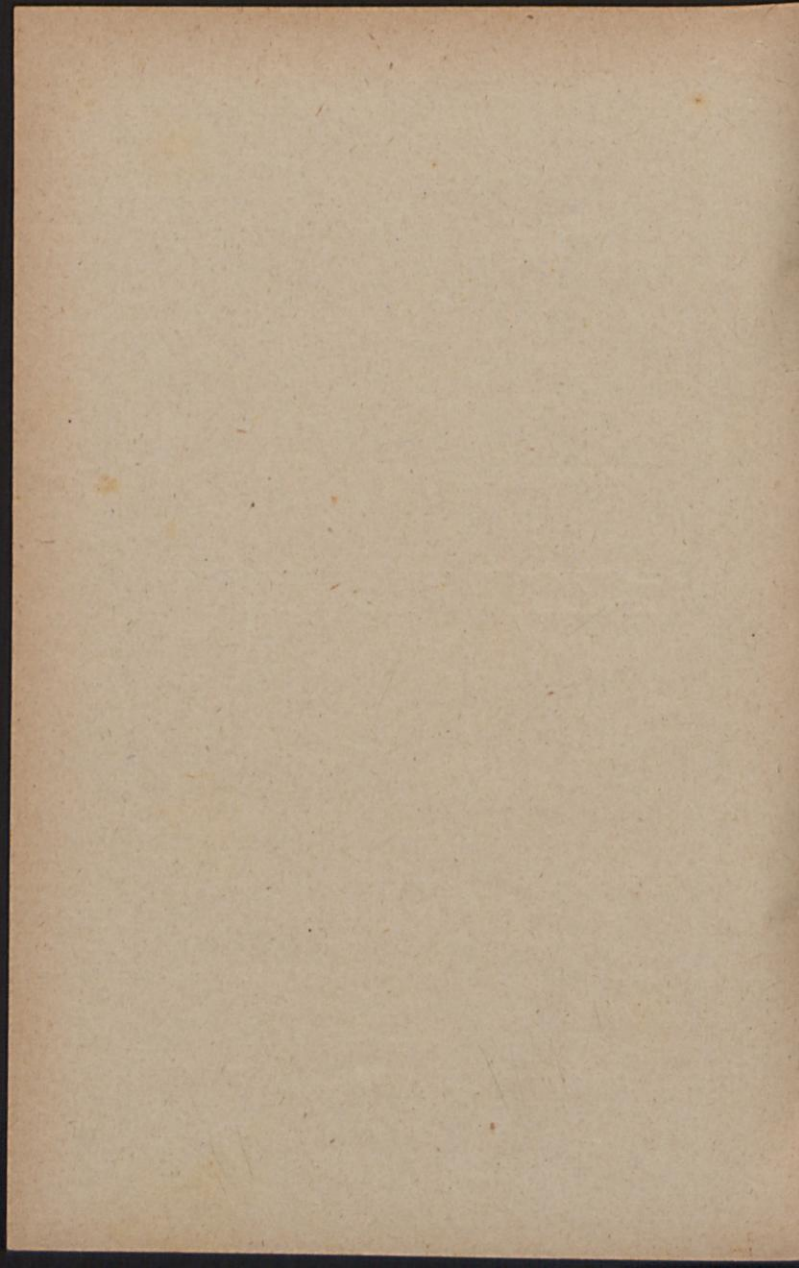
Tak samo słowiański Tatrów duch rozpiął swoje olbrzymie skrzydła ze zgrozą i jak orzeł, któremu się do gniazda skradają, wisi z błyskawicami w oczach nad Zatatrzem słowackiem. Wszakże to Węgrzy wydali wyrok zagłady na język słowacki, drą się ku Tatrom, madziaryzują lud, zabierają słowiańszczyźnie jej jądro, kradną jej ziemię i lud, jak temu ludowi odkradli strój i pieśń.

Ach! ta słowacka pieśń!... Ciężką to musiała, ciężką i długą być niewola, która wytworzyła pieśń taką smutną i taką żalosną. Nie znam piękniejszych melodyi ludowych, jak słowackie. Kiedy kobiety słowackie zaczęły nucić, wydaje się, że je nauczyła śpiewać nędza, strach, tęsknota do pozaprzepaszczających w austriackich koszarach i węgierskich

zamkach synów, braci, kochanków i mężów. I także tęsknota do tych czasów, kiedy ich Krivan patrzył na ich wolność.

Dziś Tatry z jednej strony najechane przez pruskiego magnata, który za swoje bogactwa uczynił sobie z ćwierci tych gór zwierzyniec, z drugiej patrzące na usiłowanie zmadziaryzowania ludu, który się u ich stóp wykoły-sał: są po prostu tragiczne.

WIECZÓR FLORENCKI.



Poproszono mię o napisanie w zastępstwie pana Maryana Gawalewicza, który wyjechał do Rzymu, listu z Krakowskiego Przedmieścia. Naprzód nie mieszkam na Krakowskiem Przedmieściu a następnie, o ile znam owe tygodniowe listy, Pp. Gawalewicz i Rabski poruszają w nich przedewszystkiem, jeżeli nawet nie wyłącznie, sprawy warszawskie. Dotrzymać im na tem polu byłoby mi trudno. Ale byłem kiedyś w słynnym we Florencyi salonie pani de Sirenné i przyszło mi na myśl, czyby, zamiast listu z Krakowskiego Przedmieścia, nie opisać wieczoru florenckiego, cokolwiek na wzór owych sławnych „Wieczorów florenckich“ Klaczki.

Pani de Sirenné gromadzi u siebie całą Florencyę. Bywa tam każdy, kto się szanuje na miejscu i każdy z przejezdnych, który pragnie być szanowanym. Co do mnie, wprowadzony tam zostałem przez dwóch moich znajo-

mych; Teżła, chłopskiego prawie samouka, a dziś szeroko głośnego rzeźbiarza, i hr. Mor-
skiego, muzyka. Salony przepyszne. Powia-
dają, że we Florencyi w pokojach sypialnych
bywają czasem pluskwy, ale za to salony
przepyszne. Pani de Sirenne jest osobą bo-
gatą, ma około stu tysięcy franków roczne-
go dochodu, ponieważ jednak jej przyjaciół-
ka, pani Goldblum, która ma trzykroć docho-
du, wydaje sześćdziesiąt tysięcy, a dwieście
czterdzieści co roku odkłada, więc pani de
Sirenne wydaje całe sto tysięcy i co roku
nic nie odkłada. Wydaje za to czasem dwa-
dzieścia lub trzydzieści tysięcy z kapitału.

Pani de Sirenne odznacza się nadzwyczaj-
nym taktem, dobrem wychowaniem, jest oso-
bą bardzo uprzejmą i zaznajamia sama swoich
gości. Sam widziałem, jak panu Obyvatelli
z pod Parmy, który przyszedł do sa-
lonu w pół godziny po Teżlu, przedstawiła
Teżła, a hrabiemu del Imposanti da Idi-O'Tom,
który przyszedł do salonu w pół godziny po
panu Obyvatellim, przedstawiła pana Obyva-
telli. Teżel mruknął przytem po włosku
„clempa“, co, za mało znając język włoski,
nie wiem, co znaczy, zepewne wyraz uzna-
nia, a pan Obyvatelli był uszczęśliwiony.
Tylko uważałem, że hrabia del Imposanti da
Idi-O'Tom, który, o ile mi wiadomo, nie wy-

chowował się w naszej Warszawie, wydał mi się zdziwiony.

W chwilę później usłyszałem następujące zdanie

— Ach! Muszę panu powinszować, panie Belcanto! Sam markiz Buonoallegrazzi di Nievinazzo był na pańskim koncercie! — mówił do słynnego tenora Belcanto pan Izaak Feinparfum z niesłychanem przejęciem.

— Czy to jest jaki wielki muzyk ten markiz? — spytałem naiwnie Morskiego.

— Nie, to jest tylko bardzo wielki pan. Belcanto spojrział na Morskiego, Morski na Belcanta i obaj parsknęli śmiechem. Pan Izaak Feinparfum zaczerwienił się — mówił że łatwe czerwienienie się jest cechą natur inteligentnych — i okrągłym ruchem posunął się ku bogatej pani Varsovini, która właśnie siadała na fotelu z wielkim wdziękiem i tak elastycznie, jakby siadała na gu-taperce.

Troszkę obcy w tem towarzystwie rad byłem, że znalazłem wolne miejsce w rogu pod kwiatami. Prowadzono tam jakąś żywą dyskusję.

— Ależ jakże! — mówiła pani Lublini, żona chirurga z Bolonii. — Opowiadała mi to sama mecenasowa di Radomio! Paletini namalował w skandaliczny sposób pannę We-

rę Daturę. Zemścił się na niej, że mu odmówiła kotyliona w resursie kupieckiej.

Obok siedzieli młodzi ludzie, jak się później dowiedziałem, stryjeczni bracia Posaggoni.

— Skandal! — wykrzyknął jeden.

— Bezeczeństwo! — zawołał drugi.

Dowiedziałem się, że kwestya dotyczyła obrazu, przedstawiającego nagą kobietę.

Ale przecie nie można poznać, bo twarzy nie widać — ktoś się odezwał.

— A włosy?

— Panna Wera ma ciemne, a tam są jasne.

— A wzrost?

— Panna Wera jest niska, a kobieta namalowana jest wysoka.

— A talia?!

— Panna Wera jest szczupła, a kobieta namalowana jest tęga.

— A...?!

— A, tego to już niewiem.

— A ja wam powiadam, że wiem doskonale, że to Wera Datura i że ją namalował przez zemstę — mówiła pani Lublini z Bolonii.

— Za to, że mu odmówiła kotyliona w resursie kupieckiej?

— Tak.

— Ale kiedyż on tam nie był!

— Jakto nie był?

— Bal w resursie kupieckiej był dnia 17-go lutego, a Paletini był wtenczas ze mną na wsi, w Lombardyi. On nawet, co więcej, wcale nie zna panny Wery Datury.

— Skądże pan wie?

— Bo kiedy mieliśmy być na wieczorze u państwa Coutuni di Cracovia i wymieniałem mu, kto tam będzie, spytał się, usłyszawszy nazwisko panny Datury: któż to taki?

— Kiedyż to było?

— Siódmego marca.

— Zatem byłoby?

— Nawet po wystawieniu obrazu.

— No, co pan mówi, to pan mówi, a ja wiem dokładnie, że Paletini namalował pannę Daturę nago przez zemstę, że mu odmówiła kotyliona w resursie kupieckiej.

— Skandal!—wykrzyknął jeden z młodych ludzi.

— Bezeczeństwo!—zawołał drugi.

Obecny krytyk, Bonifazio Cretynio, obiecał pani Lublinie, że „on już tak podetnie nogi Paletiniemu, że się więcej nie podniesie“.

— Daję pani słowo i dziękuję za te wiadomości — mówił.

— Skandal! Bezeczeństwo!—powtarzali dwaj młodzi ludzie.

— Któż są ci panowie, którzy się tak oburzają głośno?—spytałem sąsiada.

— Ej to nic, jeden ciągle jeździ na gumach. Nawet śmieją się, że to jest amator gutaperki—tu spojrział w stronę bogatej, elastycznie siedzącej pani Varsovini—i nie wiem zresztą, z czego żyje, bo nic niema i nic nie robi. A drugi coś tam, jakieś głupstwo! Napisał jakiś anonim, że ktoś, co się miał żenić z jakąś krociovą panną, cierpi na epilepsyę, czy coś takiego. Pokazało się wprawdzie, że nie cierpi na epilepsyę, ale niemniej małżeństwo się zerwało. Panna z rozpaczy poszła do klasztoru, a narzeczony gdzieś przepadł bez wieści. Jakieś głupstwo, ot, bagatel! Po co się tam ktoś miał bogato żenić!

Rozmowa w salonie florenckim interesowała mię. Przesunąłem się więc ku innej grupie.

Doktor Salatin, Francuz, rozmawiał z kilku panami. Była rozmowa o znakomości lekarskiej we Florencyi, doktorze Burckhardzie.

— Co za dyagnosta! — wykrzykiwała jedna z pań. — Jak puka!

Cóż, kiedy głuchnie — bąknął dr. Salatin niskim basem.

— Głuchnie?... Nie słyszałam...

Dr. Salatin otworzył album i zatopił się w nim głęboko; były to widok Kairu.

Pani zaś, która krzyczała, w chwilę po-

tem zwróciła się do sąsiadki: Hm, proszę cię, słyszałaś, co mówi doktor Salatin? Burckhard głuchnie!

— Czy to być może?!—zawołała druga pani.

Wkrótce rozeszła się, jak się później dowiedziałem, szeroko wieść, że Burckhard głuchnie i że całe jego obecne pukanie to blaga. Zresztą przecież dawno już zauważono, że mieszał się przy dyagnozie. Tak, niewątpliwie, kiedyś był wybornym dyagnostą. Jeszcze tak przed trzema, czterema laty... Choć...

— Biedny człowiek! — westchnęła jedna pani.

— Nieszczęśliwe stworzenie! — dodała druga.

Doktor Salatin otrzymał wkrótce do leczenia cały pensjonat żeński panny Tuman.

— Taki uczciwy człowiek! Nie krył w tajemnicy, że ten biedny Burckhard głuchnie. Godzi się go popierać...

Doktor Salatin zaś myślał, jak wiele prawdy jest w tej maksynie: Jeżeli powiesz wieczorem, że ktoś zamordował swoją matkę, bądź pewien, że choć się rano pokaże, że to nieprawda, zawsze coś na tem zostanie.

W innym rogu salonu toczyła się ożywiona dyskusya z powodu świeżo wyszłego romansu.

— Porządnej panience tego na stół położyć nie można! — krzyczała jedna pani.

— Czy literatura jest od tego, żeby odkrywała nasze ciemne strony?! — krzyczała druga pani.

— Żadnego uszanowania dla tradycji! — krzyczał jeden starszy pan.

-- Nic świętego! — krzyczał drugi starszy pan.

— Przecie każdemu wolno pisać, jak mu się podoba, byle pisał dobrze i ze swego szczerzego przekonania — zauważył ktoś nieśmiało.

— Może, ale nie u nas, chwała Bogu! — obraziła się jedna pani.

— U nas jeszcze, dzięki Bogu, do tego nie doszło! — obraziła się druga pani.

— Pan napisze o tej książce, panie Bonifazio? — zwróciła się pierwsza pani do pana Bonifazja Cretynio.

— Ho, ho! Już ja mu dam!

— Ale bo co to, panie, żeby na stół porządnej panience nie można było położyć! — mówił jeden ze starszych panów.

Przeszliśmy z Morskim nieco dalej.

— Dobrze się pani bawiła na ostatnim raucie w ratuszu? — spytał Morski jakiejś przystojnej panny, jak się dowiedziałem później, siostry pana Obyvatelli z pod Parmy.

— O, doskonale! Był Staś Colonna, Jaś Orsini, Zygmunt Ruspoli, któż więcej? Przyjechał także Piś Montmorency, z Paryża. Był w doskonałym humorze.

— To dziwne — rzekł do mnie Morski — bo jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby ci księżta mówili kiedy o tej pannie: Mizia Obyvatelli — tylko zawsze mówią albo poprostu: Obyvatelli, albo panna Obyvatelli, albo ta Obyvatelli

— Cóż to za dama o takim arystokratycznym profilu, co się tak wachluje wachlarzem z wygrawowaną mitrą? — spytałem Morskiego.

— To księżna Wiktorya della Grazia z Wenecyi. Uchodzi tu w towarzystwie za ogromnie inteligentną osobę. Podejźmy, to posłuchamy, o czem mówi.

— Nie znoszę indywidualności. Indywidualność mię męczy. Cywilizowane narody nie mają indywidualności. Indywidualności są plagą społeczeństw — mówiła księżna Wiktorya do swojej sąsiadki.

— Księżna pozwoli: pan Paletini — przedstawił jej ktoś malarza Paletiniego.

— A! bardzo mi miło, słyszałam — rzekła księżna Wiktorya, podnosząc się uprzejmie z miejsca i podając rękę. — Pan dużo teraz maluje?

— Nie, teraz nie dużo.

— Tak, tak. Szkoda. Pan się kształcił w Monachium?

— Tak.

— A, a. Mówią, że to niemieckie Ateny. Pan nie znajduje?

— Owszem, proszę pani.

— Tak, tak. Pan będzie dużo teraz malował?

— Zobaczę, jeszcze nie wiem. Jak mi przyjdzie ochota.

— A, a. U panów wszystko zależy od fantazyi — nieprawdaż?

— Jak zawsze u artystów.

— Tak, tak. Pan dużo podróżował?

— Dosyć dużo.

— Pan woli szkołę włoską, czy flamandzką?

— Włoską, proszę pani.

— Pan muzykalny?

— Owszem, bardzo lubię muzykę, ale się mało na tem znam.

— A, a.

— Księżna pozwoli: pan de Plume, literat.

— A! bardzo mi miło, słyszałam — rzekła księżna Wiktorya, podnosząc się uprzejmie z miejsca i podając rękę. — Pan dużo teraz pisze?

— Drukuję teraz powieść w *Corriere di Napoli*.

— A, a, prawda, czytałam. Pan dużo podróżował?

— Nigdzie nie byłem, proszę pani.

— Tak, tak. Pan powinien dużo podróżować. Podróże kształcą.

— Jak tylko będę mógł, to wyjadę.

A, a. Pan powinien jechać do Paryża. To stolica świata.

— Tam się też wybieram, jak tylko będę mógł.

— Tak, tak, trzeba, koniecznie trzeba. Pan przekłada literaturę angielską czy francuską?

— Włoską, proszę pani.

— A, a, bardzo ładnie, bardzo ładnie. Pan muzykalny?

W tej chwili nachylił się ku niej Morski i z niesłychanym wdziękiem zapytał: — Księżna przekłada pierogi ze śmietaną, czy pierogi z serem?

Księżna odwróciła się do swojej sąsiadki;

— Ach, muszę pani powiedzieć, madame Bourgeoise, co mi nasz najdroższy O. Lojolini pisze z Paryża. Oto wynaleziono tam sposób ważenia za pomocą magnetyzmu treści duchowej człowieka. Moja kuzynka Dora di Miauco-Guova ma sześćdziesiąt procent uduchowienia na czterdzieści procent instynktów cielesnych. O. Lojolini zaręcza jej, że przy usiłowaniu dojść może do sześćdziesięciu

ośmiu, a nawet do siedmdziesięciu pięciu procent uduchowienia. Bo wszystko robi wiara.

— Ach! Zachwycające! Muszę się dać zwać przy pierwszej bytności w Paryżu — wykrzyknęła pani Bourgeoise.

— Niech pani rejentowa nie myśli, że to jest taka waga, jakiej używają do ważenia cieleciny — rzekła księżna przez zęby, przy mrużając oczy.—To jest waga magnetyczna, duchowa.

— Zachwycające! Naturalnie, że nie myślałam inaczej!

— Tak, tak. Dam pani polecający list do O. Lojoliniego.

— Dziękuję.

— Księżna pozwoli: pan Pianino, muzyk.

— Ależ wiem, słyszałam. Bardzo mi miło — rzekła księżna Wiktorya, podnosząc się uprzejmie i podając rękę! — Pan się kształcił w Lipsku, czy w Paryżu?

— W Paryżu, księżno.

— Pan przekłada Paryż nad Lipsk?

— O, zdaje mi się, że teraz Paryż stoi daleko wyżej.

— Tak, tak. Pan dużo podróżował?

— Znam całą Europę i kawałek Afryki.

— A, a. Podróże kształcą. Artyści powin-

ni wiele podróżować. Pan przekłada muzykę włoską czy niemiecką?

— Niemiecką.

— Pan lubi poezję?

Nie mogłem dalej słuchać, albowiem w tej chwili zbliżył się ku mnie Morski z moim znajomym, panem Wilhelmem Kufke.

— Cóż to żonie pańskiej, że taka blada?— spytał Morski pana Kufkego.

— E nic, jakieś małe żołądkowe *qui pro quo*, nic więcej.

Morski otworzył szeroko oczy, zdziwił się, a potem rzekł poważnie:

— Taka mała żołądkowa absolucya? Co?

— To to to, to właśnie. Mała absolucya. Poprostu ten makaron na oliwie.

— A cóż Włochy? Cudny kraj, nie prawdaż?

— O, panie hrabio! Tu dopiero można zrozumieć, że tylko w takiej ziemi cytryn i pomarańcz mógł powstać Dante i Michał Anioł.

Morski znowu otworzył szeroko oczy i znów się zdziwił, a pan Kufke mówił dalej:

— Obecnie pójdziemy na Korsykę. Pojedzie z nami także pan Henryk.

— Także takie małe *qui pro quo* — co?

Pan Kufke spojrzał nierozumiejącemi oczyma na Morskiego.

— Aha — mruknął niepewnie.

— *Hannibal ante portas?*

Pan Kufke zawahał się nieco i stał zaambarasowany przed Morskim; ale zauważyłem, że uwagę Morskiego, zarówno jak moją, zwróciła w tej chwili na siebie piękna pani Irena Kufkowa. Wykonywała ona wachlarzem dziwne ruchy. Dotknęła nim naprzód prawego policzka, potem przesunęła go po ustach, potem dotknęła nim lewego policzka, uderzając lekko z rzędu trzy razy. Spostrzegłem, iż stojący *vis à vis* we drzwiach pan Henryk nieznacznie się uśmiechnął i zmrużył oko.

— Czyby się pan hrabia nie dał z nami namówić jutro do Fiesole?—odezwał się pan Kufke.—Jedzie samo męzkie towarzystwo, bo żona w domu zostaje. Jedziemy jutro o trzeciej, ja i dwaj znajomi z kraju.

— Pan Henryk jedzie także?

— Nie, zdaje się, że nie.

W tej chwili przedstawiono mnie jakiejś polskiej rodzinie: pani, pan, córka, bardzo ładna dziewczyna, której wyłaziło z oczu „lubię, kiedy mężczyzna“...

— Pan X., pan Kukiello.

Pan literat, a co?—zaśpiewał pan Kukiello
— Literat.

— Pan się tak specjalnie zajmuje literaturą, czy u pana jest fundusz?

— Specjalnie.

Pan Kukiello zwrócił się ku córce i rzekł:

— Cezyu serce, przejdziem.

— Jabym została, papuszk.

— Przejdziem, Cezyu serce -- zaśpiewała pani Kukiellowa.

— Państwo pozwolą, pan Teżel -- przedstawił Morski.

— Rzezbjarz, a, co?

— Tak jest, proszę pana.

— Pan się tak specjalnie zajmuje rzezbą, czy u pana jest fortuna?

— Jest, ale z gliny na sztalugach.

— A, co? Cezyu duszko, przejdziem.

— Ach, papuszk! Ja takóž rznę w marmurze—zostańmy.

— Przejdziem, Cezyu serce — zaśpiewała pani Kukiellowa.

Wtem pannie Cezi zsunęła się z ramion okrywka. Wyciągnąłem ręce, aby poprawić, gdy nagle błysnęły mi przed oczyma dwa czerwone łokcie pani Kukiellowej i dwie pięści obute w rękawiczki wydarły mi z rąk okrycie ramion panny Cezi. Ach, Boże, Boże! Niedarmo jest się autorem „Europy z wolem“ i kilku innych drobiażdżków...

— Czemu to panie nie były wczoraj na odczycie Pragi?—spytała w przelocie pani de Sirenne pani Bourgeoise.

— A bo służąca nie zrozumiała i zrobiła Kizi kąpiel na szóstą, nie na ósmą, jak ka-

załam. Szkoda już było marnować wody. Kizia się już coś miesiąc nie kąpała.

Tymczasem pan Obyvatelli mówił do panny Kizi Bourgeoise:

— Pani ma dziś prześliczne kwiaty, zupełnie jak robione.

— O, prawdziwe także bywają bardzo ładne.

— Niewątpliwie, ale sztuka i kultura...

— Ach tak, kultura i sztuka...

— Pani przekłada sztukę, czy naturę?

— Sztukę w naturze, a naturę w sztuce.

— Ach tak, ja to samo.

— Jakie kwiaty pan najlepiej lubi?

— A pani?

— Tuberozy.

— Ja także.

— Tuberoza ma w sobie najwięcej dystynkeyi.

— Czarująco rozmawia — rzekła panna Bourgeoise do swojej przyjaciółki.

— Co to za inteligentna dziewczyna! — rzekł pan Obyvatelli do swego przyjaciela.

W tej chwili opięta, wypięta, kołysząca się, falująca panna Pretensya Affectani przesunęła mi się przed oczyma, mówiąc przed siebie po francuzku, za siebie po angielsku, w żadną zaś stronę po włosku. Usiłowałem sobie wyobrazić, że to jest osoba niesłycha-

nie wykwinnych form, doskonałego rodu i wyborowego towarzystwa.

— Jestem demokratką i nie wstydzę się tego! — doleciał mię z innej strony ostry dyszkant panny Dezyderyi Cvass, buchalterki z prywatnego domu handlowego. Panna Cvass miała lat około czterdziestu pięciu, fioletową suknię i ogromną pogardę dla szczoteczki do zębów, oraz „Rodziny Połanieckich“, (którą czytała w tłumaczeniu). Otaczała ją powszechna adoracya ludzi, którzy tak kochali ludzkość, iż nienawidzili prawie każdego pojedynczego człowieka za to, że na równi z nimi nie kochał ludzkości.

— Książka, która nie jest ewangelią jutra, nie jest warta, aby ją czytać! — zgrzytała dalej panna Dezyderya. — Nie prawdaż, mistrzu.

Mistrz, który również żywił ogromną pogardę dla „Rodziny Połanieckich“, „Ogniem i mieczem“ i wogóle dla wszystkich szczoteczek, nie odpowiedział nic, ale naprzód obgryzł jeden paznokieć, a potem drugi.

— Chodź-no pan, przedstawię pana bardzo ładnej pannie — rzekł do mnie Morski.

Panna była w trakcie mówienia; ledwo skinęła mi oczyma i podała końce palców, i mówiła dalej:

— Któż, jeśli nie kobiety? Czy nie dla ko-

biet się pracuje, myśli, żyje? Czemże jest mężczyzna, jeżeli nie dodatkiem do kobiety?

Dwóch studentów uniwersytetu florenckiego uśmiechało się słodko, pożerając oczami pulchne kształty panny; trzeci stał zamyślony.

— Czy nie zgadza się pan, panie Stefanie?

-- Ach, owszem! Choćby dlatego, że pani tak mówi.

— A pan, panie Karolu?

— I ja, tak samo!

— A pan, panie Edwardzie?

— Ja przecież zawsze mówię — odpowiedział zamyślony student — że to jest dowodem że ktoś jest postępowiec, jeżeli uznaje wyższość kobiety moralną i fizyczną:

— Wiersze pana, panie Karolu, dosyć mi się podobały — mówiła panna.

— Jakże jestem szczęśliwy!

— Proszę pana, panie Stefanie, żeby pan jutro był na odczycie.

— Ależ naturalnie! Prośba pani to najświętszy rozkaz.

— Proszę mi przynieść „*Les demi-vierges*“, panie Edwardzie.

— Dobrze.

— Panie Karolu, czy wypracowałeś pan już statut „panienkokracji florenckiej?“

— Już.

— Czy nie zapomniałeś pan napisać go-

dła: Najwyższą istotą na ziemi jest panna florencka?

— Nie. Napisałem to czerwonym atramentem.

Panna raczyła się lekko uśmiechnąć; studentowi wyszły oczy na wierzch z uciechy.

— Panowie jesteście członkami owej słynnej „florenckiej panienkokraczy?“ — spytał Tęzel.

Studenci spojrzeli na Tęzła wyzywająco.

— A ja myślę—mówił Tęzel—że jeżeli co Florencję ogłupia, to właśnie to.

Studenci pokraśniali z oburzenia, panna spojrzała na Tęzła piorunami, a zamyślony student uśmiechnął się z najwyższą „pogardą dla idioty“.

— Zastanówcie się, panowie, że gdy setki waszych kolegów pracują, czują, myślą: wam i wam podobnym świat się koncentruje w fartuszkach panny Amelii, w pończoszce panny Frani, w uśmiechu panny Geni, albo w podółku panny Loli. Przecie macie fartuszkami zakryty mózg i serce. Nie przeczę i sam wiem dobrze, jaką potęgą jest kobieta, ale to wszechwładztwo pierwszej lepszej gęsi, jakie się spotyka we Florencyi, to, że ona sądzi świat, krytykuje ludzi i rzeczy, którym swoją miałką główką do kolan i do podstaw nie sięga, to jest niebywałe na świecie i to jest spe-

cyalnie florencki wyrób. Jesteście panowie safandudy i fartuszkarze, a skutek tego jest ten, że pierwsza lepsza pensyonarka, albo niewiele co więcej, raczy uznawać, albo nie uznawać coś takiego, co do czego powinna być kontenta, że się o to obetrzeć może. Nigdzie na świecie pierwsza z brzegu gęś nie pozwoli sobie na takie zachowanie się wobec ludzi i rzeczy poważnych, jak tutaj — dzięki wam.

Myślałem, że będzie awantura, gdy na szczęście zbliżyła się ku nam hrabina Dobroczeni di Coudza-Portemonneta z drugą młodszą panią Bourgeoise w żałobie.

— Państwo może zechcą co ofiarować na nasz przytułek ubogich kalek — rzekła hrabina. — Fasola ogromnie podrożała, a i bób poszedł w cenie. Biedacy poumierają z głodu.

Pani Bourgeoise wyciągnęła rękę z tacką.

Nagle za sobą usłyszałem głos pani di Radomio:

— Wiecie, ta Bourgeoise, ona jest w żałobie po mężu. On był burmistrzem w Anconie. Kiedy wydał ostatnie technienie, pani Bourgeoise przewróciła się w tył na ręce swego najstarszego syna i krzyknęła ztamtąd do lokaja: Wincenty, biegaj do magistratu, żeby zaraz wywiesili czarną chorągiew!...

Miałem jeszcze inny raut i musiałem wyjść, nie przyjrawszy się ani czwartej

części towarzystwa w salonie pani de Si-
renne.

Noc była cicha i pełna gwiazd na niebie
a luczoli w powietrzu i różanych krzakach.
Od rzeki Arno szedł szum. Słodko było iść
między ogrody willi florenckich.

Na niebie w całej pełni blasku stał Orion,
lira gwieździsta. Wielki wóz, z wytkniętym
w nieskończoność dyszlem, zdawał się śnić
w swoim wiecznym, nieustannym ruchu. Na
całą Florencję zeszedł dziwny, ogromny czar
nocy wiosennej. Z okna dolatywał mię śpiew:

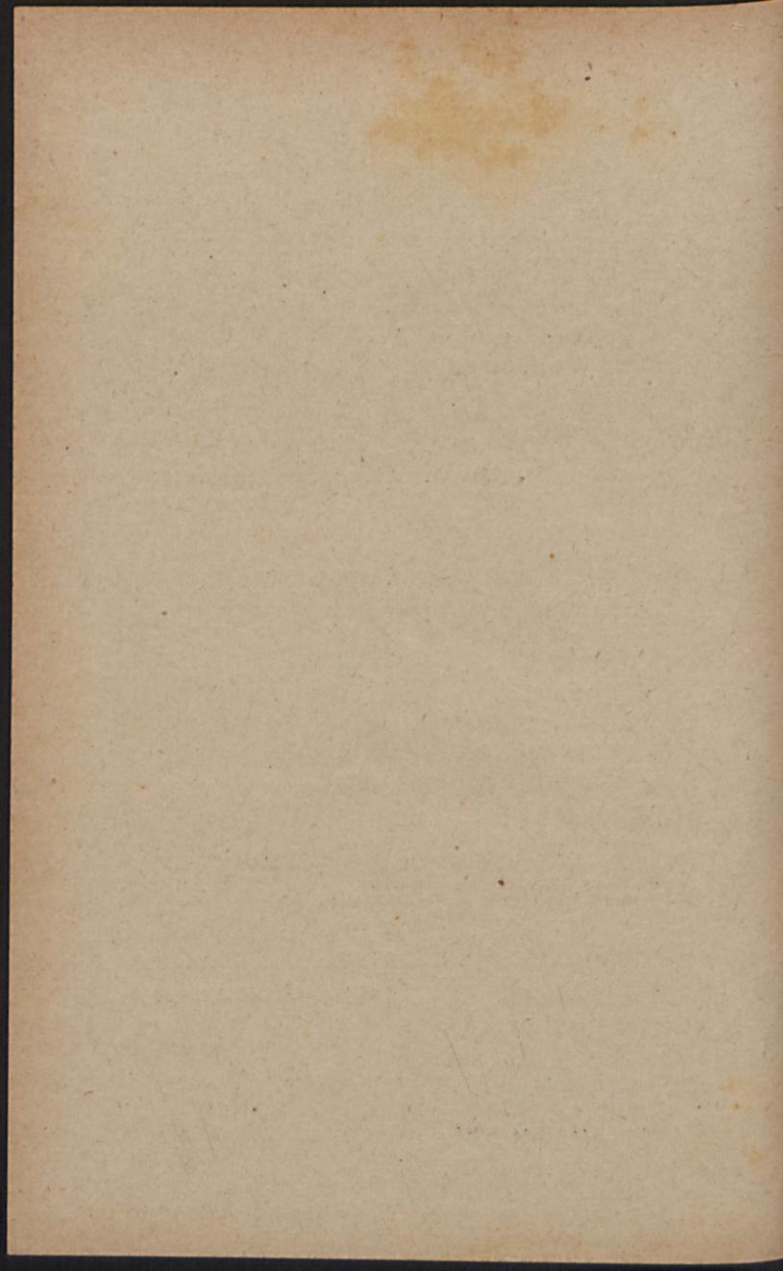
W twego ciała przecudownej czarze
Życie kipi, jak złociste wino;
Trzykroć, trzykroć ten będzie szczęśliwy,
Komu dasz się niem upić dziewczyno!

W twego ciała przecudownej głębi
Oczy toną, jak w jeziora fali
I powrócić na słońce nie mogą
Z ławic pereł i z ławic koralii...

W twego ciała.....

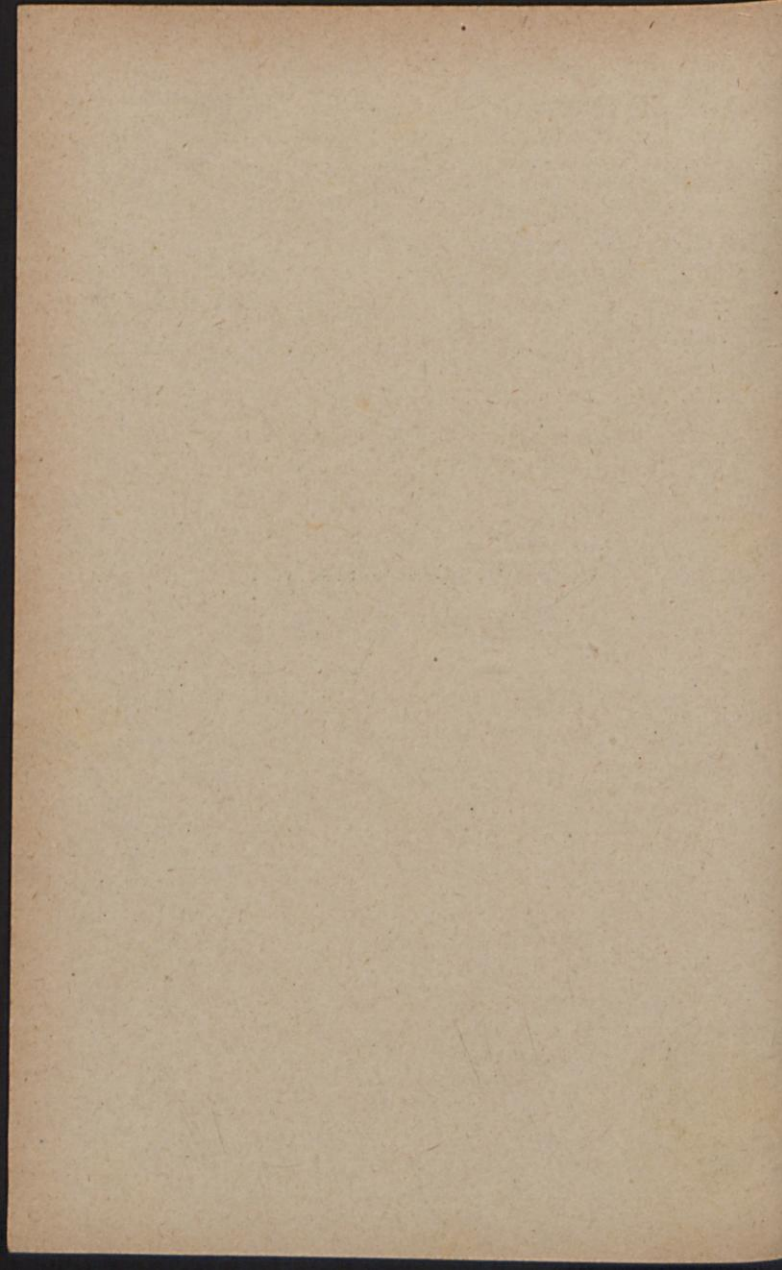
Dalej nie słuchałem, gdyż zainteresowało
mnie niezmiernie zdanie, wymówione w moim
ojczystym języku:

— Ale proszę pana, zupełnie co innego
jest właściciel składu aptecznego, a zupełnie
co innego aptekarz...



Z cudzych pamiętników.

Fragment.



„Żal mi tych kwiatów. Rwałem je, bom coś dla niej uczynić musiał, rwałem je w takiej chwili, kiedy temu, coby mi rzekł, że dla niej mego serca trzeba, byłbym powiedział: bierz! Rwałem je w takiej chwili, kiedy szalony tęsknotą uciekłem w góry na deszcz i wicher, uciekłem z miejsca, gdzie jej już nie było, aby mi z największych urwisk patrząca w oczy śmierć, jej pamięć zasłoniła sobą.

Nie wiem, czy w tych całych górach kto kiedy tak tęsknił, tak bardzo i naprawdę serdecznie...

Wracałem z pełnemi ustami słów o niej, dla niej, do niej. Była taka pustka dokoła, że mogłem mówić głośno, nie usłyszałby mnie nikt. Wiatr tylko szumiał po żółkłych jesiennych uboczach i kopach i leciał w głąb,

między skały dziwnie martwe i ponure, jakby wszystkie te świetne kolory, któremi kwitły one przez lato, z jesienią zwiędły, podobne do kwiatów.

Szedłem i mówiłem głośno, a jeśli kiedy słowa były bezpośredniem echem duszy ludzkiej, to moje wówczas.

I zerwałem kilka kwiatów po drodze, z myślą o niej, a niewiedząc nawet czy jej, która już była daleko, dam je kiedykolwiek? Los tak złożył, że do rąk jej doszły.

I dziś mi żal, że mi ją rwał, bo może jej ręce wszystkich kwiatów na świecie są warte, ale tych, w takiej chwili rwanych, dawać jej było nie trzeba.

Bo co one jej mówiły, te moje z górskiego pustkowia?

Oto, że kocham ją i jej kochania chcę, że gdybym mógł, tobym ją na ręce wziął i niósł i cierni szukał, aby myśleć, że ją niosę i że ona tych cierni nie czuje; oto mówiły jej, że objąć ją chcę i przycisnąć, całować w usta i szyję i u nóg jej klęknąć i w oczy jej patrzeć, a potem krew jej w płomień zamienić, aby tak wrzała, jak moja; oto mówiły jej, że jest moim snem pięknym, że wybudowałem cały świat ze złota i zieleni, z błękitu srebrno-liliowych barw, cały świat ciszy i spokoju, ciepła i woni, że odgrodziłem gdzieś czarodziej-

ską i zaczarowaną łąkę, nieskończoną, cudowną, gdzie ją powieść chcę, gdzie z nią razem chcę mieszkać; oto mówiły jej, że całą moją duszę, ze wszystkim, w co jest bogata, u stóp jej położę, i całe serce, ze wszystkim, co ono czuć zdolne, jej dam.

To jej mówiły te zerwane kwiaty.

A ona?

A ona pomyślała, że kiedy przyjdzie stosowna pora i kiedy rozsądnie będzie tak uczynić, można będzie spokojnie odwrócić twarz i odejść—i kiedy taka pora przyszła, odwróciła twarz i zupełnie spokojnie odchodzi.

Nie pójdę za nią! Ona sama uczuje kiedyś, że może za wysoko sięgnęła ręką, aby uderzyć w czoło. Przyjdzie czas, kiedy żal jej będzie, że się odwróciła tak bez jednego spojrzenia, bez jednego uśmiechu, bez jednego słowa pożegnania; przyjdzie czas, kiedy zrozumie, że dotknięta duma boli bardzo i że się na pożegnanie przynajmniej rękę podaje, jeżeli nie chce powiedzieć nic...

Tak się odwracać nie trzeba było.

Z pewnością! ona ma słuszność i tak, jak czyni, czyni dobrze, jest trzeźwą i rozsądną—tylko, gdyby wszystkie inne kobiety tak uczyły, nie dziwiłbym się, ale że to ona, dziwię się i to mnie boli.

Bom ją śnił taką inną, jak wszystkie, taką odmienną...

Ze wszystkich kobiecych dusz, co najpiękniejsze wziąłem i w jej duszę przelałem; ze wszystkich kobiecych serc, co najpiękniejsze wziąłem i przelałem w jej serce — uczyniłem z niej kobietę, przed którą się klęka nie tylko po to, aby rozkosz wyprosić...

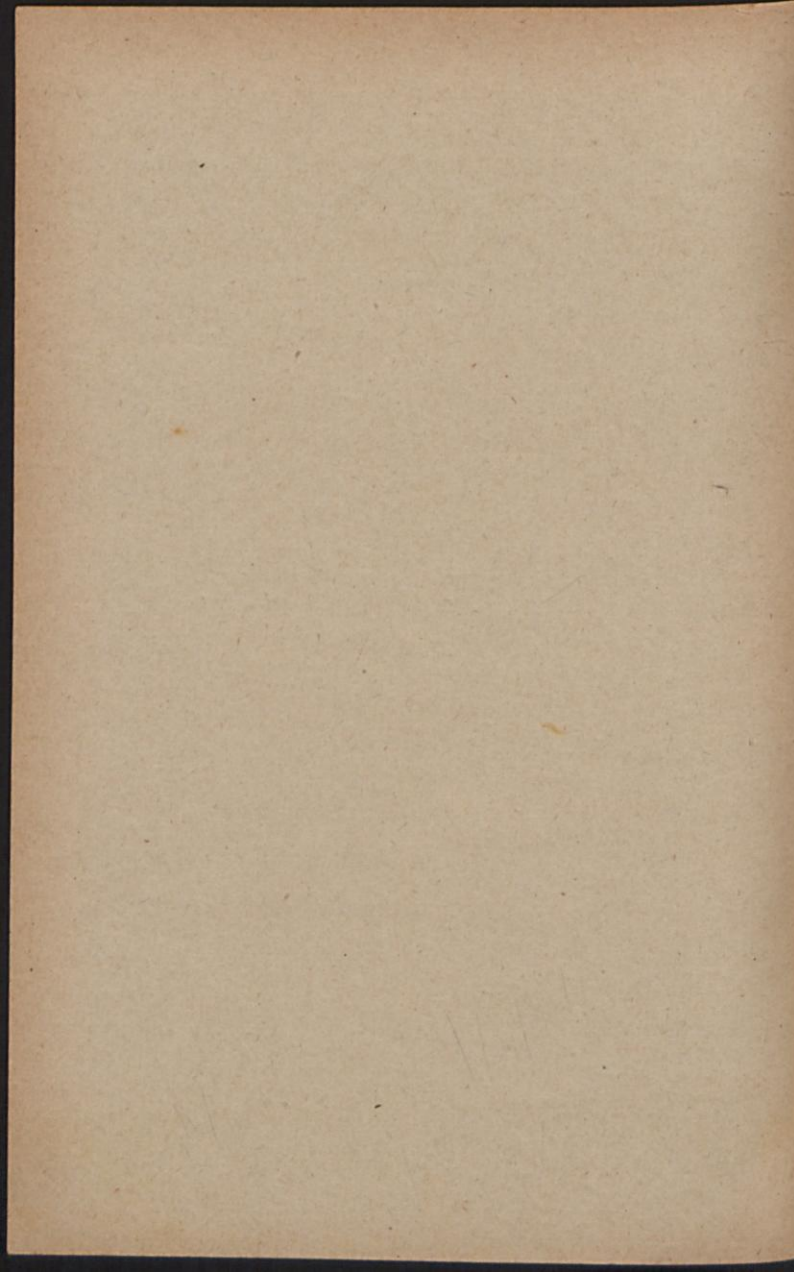
Na szczęście wiem, że to mój sen ostatni: zadrugo się je oplaca.

A zresztą jest jeszcze tyle innych ust do całowania — duszy w kobiecie nie chcę już szukać nigdy, owszem, im jej mniej, tem lepiej.

I żal mi dziś tylko tych kwiatów, zerwanych tam, w górskiej pustce, kędy mi jednak ludniej było, niż teraz, bom miał przynajmniej dla kogo kwiaty rwać — gdy dziś nie miałbym komu podać nawet jednego listka; żal mi tych kwiatów, które jej tyle powiedziały — napróżno“.

Warszawa. Maj. 1894.

O ARNOLDZIE BOECKLINIE.



Trwa przed nami ona wielka, naga, od-
wieczna. Trwa przed nami w całym swoim
majestacie i w całej grozie, olbrzymia, taje-
mnicza, urocza i straszna. Podobna do ogro-
mnej bogini, która łuk i strzały śmierciono-
śne w jednej, kwiaty i puchar wina w dru-
giej trzyma dłoni; podobna do ogromnej bo-
gini o brwiach z błyskawicy i ustach dzie-
cinnych, trwa przed nami.

Szły bogi i w proch padały,
Czas idzie i zmieniają się wiary,
Ona trwa wieczna, jak strach, głód i zawieść
Pierwotna tak, jak one,
Jak one tryumfalna,
Nad wszystko wyniesiona, niepokonana
Niczem i nigdy, tak, jak one,
Pierwotna, dzika potęga
Natury!

Z pomiędzy dzikich, szalonych, okrzęsanych skał wylewa się strumień, źródło cichy i świetlisty, z pomiędzy turni spiętrzonych pod niebo, z pomiędzy chmurami omroczonych skał, wylewa się strumień cichy i świetlisty, jak słowiczy śpiew.

Oto tam w lesie czarnym, w przepastnym borze, wśród wykrotów potwornych, wśród tumanu gałęzi, wśród kurniawy oplątanych korzeni, wśród chaosu i burzy skłębionych pniów: biały kwiat, biały kwiat konwalii, modre niezapominajki, tajemnicza, zielona paproć nad omszonym, przejrzystym jeziorkiem.

Tajne i zaciszne, idylliczne groty w wesołych, puszystych, rozkołysanych wzgórzach, omajone bluszczem, otwierają się w głąb w zawrotne, obłędne, orkanom błędzącym podobne otchłanie, podobne straszliwym dziwom morskim o ośmiu ramionach, z których każde niesie zagładę i śmierć. Strach, śmierć i zguba czyha w tej otchłani. Strach, śmierć i zguba podobna ośmioramiennej poczwarze, złemu dziwowi mórz. A na listeczkach bluszczu, który umaja wejście, słoneczne blaski siadają jak złote motyle...

Mętem powodzi wzbiera rzeka błękitna, na starych gruzach wyrasta soczysta jabłoń, na pożarem wyniszczonym stepie krzewią się zboża, trzęsienie ziemi wywraca grody, a wul-

kany wygasłe rodzą wino i łagodne oliwki. Do ogromnej bogini, w jednej ręce łuk i strzały, w drugiej wina puhar dzierżącej: podobną jest przedziwna, cudotwórcza, niezbadana, zdumiewająca Matka-Natura.

* * *

W sitowiu zagrał Pan. Bożek Pan. Lubi świstać, gdzie trzody się pasą. bożek o koźlich nogach, o koźlich różkach na głowie. Rozkochane w miłości być muszą istoty, co nigdy gajów różowych, ni szumu fal egejskiego morza nie rzucą, nigdy grot leśnych nie odbiegna, błakają się wśród zacisz lesi-
stych, w zamrocznych alejach krzewów, pod baldachimem bluszczów i powojów. Gdy gra w sitowiu bożek Pan, bożek o koźlich nogach i koźlich różkach na głowie, fauny i nimfy, satyry i najady słuchają i tańczą. Tam zaś centaury olbrzymie tętnią po lesie, cyklopy mury stawiają poczwarne, giganty i tytany, jak zionące z kraterów wulkanicznych gwałty, przeciw niebu podnoszą pięść, przeciw bogu, co niebem włada, przeciw bogom morza i podziemia, przeciw bóstwom piękności i pogody. Ziemia i niebo, morza i chmury zabóstwiają się, żyją, przyoblekają kształt ludzkiemu kształtowi podobny. I oto przedziwny świat—źródła mają swą postać cichych,

białych zadumanych dziewic; każdy gaj jest kościołem zamieszkałym przez bóstwo, każda grotka dzwoni pieśnią „nimf podziemnych“, w każdym wicherze leci bóg, słońce — bóg wozi po niebie—wszędzie bóstwo! I oto przedziwny świat, świat, gdzie wszystko jest cudem, najpiękniejszy o Naturze sen. Ogromna bogini uśmiechnęła się raz tylko tak słonecznie, tak złociście, raz tylko wieki miały tak złoty, tak słoneczny uśmiech — jak echo fletni pastuszej w górach, jak echo od skały do skały: od tysiąca lat do lat tysiąca—poszło wspomnienie tego uśmiechu, trwa jego czar.

Mistyczna poezja natury raz tylko wcieliła się w pieśń tak wielką i wspaniałą. Uśmiech Piękna, uśmiech raz tylko z nieba zesłanej Piękności, owiał raz tylko na ziemi urodzony lud Greków; owiał im życie całe. Piękno owiało ich radość i ból, smutek i wesele; piękno owiało tragedję i komedję życia ludzkiego, wyobraźnię ludzką i odczucie. Wszystko poczęło przyjmować kształt niezrównany. Piękno stało się duszą człowieczą, już on ani cierpieć, ani cieszyć się nie mógł w innej formie. Piękno wrodziło mu się w pierś. Powstała baśń najstraszliwsze tragedye otaczająca czarem, jak noc księżycowa osrebrza pole bitwy; wesołym, słonecznym

południom, kiedy żęncy śpiewają w polu, dająca urok, jaki paw o tęczowych piórach daje różanym klombom, kiedy się po nich w krasie barw swoich przechadza. Zło i dobro jest legendą, którą sobie ludzie opowiadają, legendą, która po ich śmierci zawisała nad nimi, jak zawisa obłok dymu nad wygasłym ogniskiem; baśnią, która poszła od nich w świat, jak idzie woń lasu poniesiona na wietrze; jak na dalekie, wysokie przyłęczce tatrzańskie idzie kędyś w dolinie zawiedziony przez juhaskę śpiew. Na świecie pozostał grecki boski myt.

I przyszedł człowiek, któremu Natura, owa Natura tryumfalna, przedziwna, cudotwórcza, niepojęta, któremu grecka legenda stanęła widomie przed duszą w całej swojej prawdzie, w całym prawdy swojej majestacie; stanęły widomie, jak dwie boginie: olbrzymia Matka, która morza przerzuca i góry obala, i najpiękniejsza jej Córa.

Arnold Boecklin. Będą o nim mówili, jak o cudownym pielgrzymie, przybłądzie jakimś z zaziemskiego świata, który przed lat trzema tysiącami leśnego Pana podsluchiwał pieśni, któremu morze odkrywało widomie przez potów śnione tylko zjawiska, człowiek jakiś, który wszystko widział, wszystko znał, dla

którego nie było sennem marzeniem, ale wszystko najdziwniejsze, najcudowniejsze, najbajeczniejsze, jawą, realną rzeczywistością, ciałem. Nie jest to poeta-malarz, który tworzy — to jest wizjoner, który ma widzenia; to nie są obrazy, dzieła sztuki — to są objawienia. W tem jest siła, w tem jest potęga Boecklina. Jego rozhukana moc twórcza, jest jak rozhukana moc podzwrotnikowego słońca, jego obrazy nie są malowane, lecz wybuchają z płócien, jego pendzel nie kładzie barw, lecz trzaska światłem, jak bicz ognisty; jego dusza nie komponuje, lecz rozstrzela się, jak granat pękający. Michał Anioł, czy Rubens, Beethoven czy Wagner, Mickiewicz czy Byron, nie są więcej potężni w napięciu siły twórczej, więcej w tworzeniu silni, gwałtowni, bohaterscy i boscy.

Wyobraźcie sobie olbrzymi, południowy ogród, pełen drzew pod niebo, kaskad o szumie morza, kwiatów nad głową, kolorów, które grzmia, woni, które są powodzią, kształtów, które odurzają, jak pożar; ogród, ponad którym unosi się zadumany, mistyczny, dziwny, kamienny Sfinks...

Jego pendzel jest jako język Słowackiego: od najdelikatniejszych tonów wznosi się do grzmotu, kolosalne wizye, wściekle walki, po-

tworny chaos odtwarza równie genialnie, jak wiosnę w kwiatach, milczenie pustki, czar rozmarzenia. Pióro, które potrafiło napisać „W Szwajcaryi“, „Anhellego“, „Króla Du-cha“, „Balladyne“, „Beatrix Cenci“, „Hymn o zachodzie słońca“: oto pendzel Boecklina. Dodajcie do tego, że ten człowiek zdolny jest tragicznej głębi Ajschylosa, pogody i humoru Odysei, przy mistycyzmie i allegoryi mnichów średniowiecznych: a będziecie mieli jedyny w swoim rodzaju fenomen, jakim jest Arnold Boecklin, jeden z największych malarzów, jakich świat wydał.

„Żyjesz-że jeszcze, żyjesz święta Naturo?...
Ongi rzek brzegi, barwnym słane puchem,
Były czystych dziedziną
Nimf...

Pasterz, co w niepewnych
Cieniach południa nad kwietny brzeg rzeki
Spragnione pędził trzody
Poić: uczonej głos słyszał daleki
Pieśni leśnego fauna
I truchłał, drżące widząc kręgi wodne.
By nie ujrzały źrenice niegodne
Olimpijskiej łowczyni,
Jak chiton zzuwszy, schodzi w pole chłodne
Zmyć, kurzem łowów krwawych oprószone,
Dziewicze piersi i śnieżne ramiona.

Żyły zioła i kwiaty,
I żyły niegdyś bory. O ludzkości
Istnieniu wiedział miękki wiatr i chmury,
I zapalona wysoko nad światy
Lampa Tytana.

Tak „wieść prastara niosła“ wielkiemu poecie Włoch (Leopardiemu), budząc mu „dawnych odgłosy wierzeń“. Ale dla Boecklina to *wczoraj* jest *dziś*, ta „wieść“ jest świeżą, bieżącą historią: on niemal. zda się, wierzy, że „brzegi rzek słane puchem są czystych nimf dziedziną“, że pasterz „słyszy głos dalekiej pieśni leśnego Fauna“, że „przepaście górskie pełne są jęków człowieczych i skarg“.

Twórczość Boecklina obejmuje w swoich przeszło trzystu obrazach najróżniejsze światy malarstwa i pod względem różnaitości, różnorodności tematów, nie wiem, czy jest drugi malarz, któryby z Boecklinem współzawodnictwo wytrzymał. Jak Szekspir stworzył cały świat, tak, iż jak on brał wzór ze świata przez Boga stworzonego, tak bóstwo jakieś mogłoby świat stworzyć podług Szekspira: tak i Boecklin.

Poganizm i chrystyanizm, romantyzm i klasycyzm, idealizm i realizm, mitologia, sagi germańskie, symbolistyka, świat starożytny, średniowieczny, współczesny, prawda

i zmyślenie — wszystko objął. Leonardo da Vinci w swoich rozlicznych umiejętnościach był nie więcej różnorodny, niż geniusz Boecklina w malarstwie.

Największym, najdziwniejszym i najwięcej godnym podziwu, najsłynniejszym i najbardziej znanym, jest Boecklin — malarz bajeczny, malarz legend, jest ten Boecklin, który iście słuchał pieśni leśnego fauna, dla którego „żyła jeszcze święta natura“, który przedziwną władzą widział co niewidzialne, znał co mityczne, któremu moc jakaś niepojęta otwierała na ścieżaj bramę tajemnic Natury, Natury tryumfalnej, kiedy wydaje się dzieckiem uśmiechniętem i bóstwem grozy, kiedy podobna jest do bogini, dzierżącej w jednej dłoni luk i śmierć noszące strzały, w drugiej kwiaty i puhar winny.

Stary centaur, któremu się kopyto zdarło, przybył do wiejskiego kowala z prośbą o poradę. Co za wyraz tego potwora! Musiał to być pomiędzy swymi „chłop na schwał“ i zapewne „pierwszy raz w życiu zachorował“. Jak on mógł zachorować i że mógł, taki chłop?! Ma w twarzy i troskę i niepokój i zdziwienie i smutek i obawę. Państwo duńskie się psuje, lęk ogarnia mieszkańców! Przed centaurem stoi kowal pod kuźnią i z miną znawcy patrzy na kopyto. Trochę

opodal, z boku, trzy figury ludowe włoskie: matka z dzieckiem na ręku, chłop i dziewczka.

Opowiadał mi nieboszczyk stary Wala z Zakopanego, że za jego młodych lat był góral Gałajda, zbójnik, tego wzrostu, że mu wysocy ludzie głowami pod pachę sięgali. Słowem: olbrzym.

Otóż wyobraźcie sobie, że taki Gałajda wylazł z gór i zjawił się na rynku w Nowym Targu, gdzie musiały podówczas krążyć cudowne powieści o bandytach z Podhala, a gdzie wydawać się oni musieli czemś bardzo ciekawem i zdumiewajacem, strasznem trochę, a niezmiernie osobliwem, ale cokolwiek bądź—dosyć blizkiem, znajomem, a nawet pokrewnem. Każdy, coby koło takiego olbrzyma Gałajdy przechodził, zatrzymałby się, co drugi otwarłby gębę, tak, jak to robi środkowa figura na obrazie, ale niktby nie uciekał, jak uciekanoby przed Gałajdą w Łowiczu, lub Nowomińsku, lub jakby przed centuarem uciekali dzisiejsi Włosi, albo Grecy. Wyobraźcie sobie twarze Nowotarżan, do których lat temu sześćdziesiąt przybył olbrzymi zbójnik podhalański kupić na przykład prochu, lub skóry na kierzce, a będziecie mieli wyrazy twarzy wieśniaków, przechodzących mimo kuźni.

Obraz ten ma wszystkie cechy Boecklina: jest fantastyczny, jest realny, jest grą imaginacji opartą na prawdzie, jest bogaty w plastyczną psychologię figur, ma fabułę, która u Boecklina jest zawsze—(mimo to jego obrazy nie są „literackie“, czego się tak boją zwolennicy bezmyślnego kopiowania natury)—jest kompozycją i jest przykładem genialnego wczuwania się, wżycia w swoje dzieło. Bo istotnie ten obraz, jak wszystkie zresztą Boecklina, robi wrażenie, że on musiał widzieć i obserwować to, co namalował, tego centaury, tego kowala pod kuźnią i tych wieśniaków z boku, i on ich istotnie widział i obserwował w swojej wyobraźni, „oczyma duszy“. On ich zna: ci ludzie, ten centaur, to jest on sam, Boecklin, to są części jego ducha, którego on przecież zna. I tylko ten artysta jest wielki, który nam ducha swego w odtworzeniu daje. Goethe był równie Faustem, jak Wagnerem, Małgosią, Mefistofelem i Froschem; Mickiewicz równie Konradem, jak Skołubą.

Artysta musi być swoim własnym dziełem; szczerłość jest pierwszym warunkiem porządnego człowieka i porządnego artysty, prawda pierwszą podwaliną cnoty i sztuki. Ale dla Byrona sferyczne genjusze Alp są prawdziwsze, niż dla pierwszego z brzegu po-

wieściopisarza jego ludzie, bo prawda i szczerść w sztuce nie zależą od tematu, tylko od zdolności wczucia się we własną wyobraźnię, ta zaś zależy od stopnia władzy twórczej.

Geniuszem może być tylko geniusz, zaś szkoły sztuk pięknych, akademie muzyczne i uniwersytety znajdują się po znaczniejszych miastach Europy.

We Włoszech rozkwita geniusz Boecklina. Błękitne morze mu gra, bijąc falami w brzeg o tę ziemię, na którą przelało się całą falą morze artystycznego geniuszu Grecyi, po której, zda się, nocami stąpa jeszcze w tajni omroczonej srebrno-strzały Foibos Apollo, pan Muz dziewięciu, niosąc echa rzeźbiarskiego dłuta i rytmu liryki greckiej; o ziemię, której wiecznie świeża, wiecznie młoda, wiecznie żyjąca, jak słońce co dnia świeże i młode: świeci sztuka odrodzenia. Pogańska, grecka dusza Boecklina, tego jedyne go człowieka XIX wieku, który pogańską, starożytną pogodę pojęcia życia posiada i ujawnia, otwiera skrzydła. Zda się, jak orzeł urodzony i wychowany w klatce w nizinach, gdy się wyrwał i w góry wyleciał: tu poczuł, że jego ojczyzna.

Boecklin się uczy. Staje się fantastycznym, jak pasterz attycki,—kolorystą, jak Ty-cyan.

Wyobraźnia Boecklina nie żywi się samą odrodzoną w sobie przedziwnie i cudownie tradycją poprzedzających kultur, jak wyobraźnia Goethego; wyrzuca on z siebie rzeczy zupełnie nowe, jeżeli zaś z jednej strony widziane we Włoszech obrazy i rzeźby pozwoliły mu stworzyć swój odrębny świat mitologiczny, to z drugiej — zrobiły z niego tego kolorystę, o którym Witkiewicz powiada, iż jest tak nadzwyczajnym, że z trudnością można by znaleźć w całej dawnej i nowej sztuce równego mu, że jest „może największym kolorystą, jaki istniał“.

W nowej Pinakotece monachijskiej na ogromnej ścianie, wśród mnóstwa obrazów, wisi sławne „Im Spiel der Wellen“; spróbujcie się od tej ściany cofać. Jeden po drugim, w miarę oddalania się, obrazy będą gasły, ale „Im Spiel der Wellen“ jeszcze do trzeciej sali z ukosa świeci granatem swego morza i rozmaitą barwą ciał w niem płynących.

Kolor jest główną i decydującą wagą wartości malarstwa, jak plastyka rzeźby, a „wszystkie zalety genialnego malarza kolorysty cechują obrazy Boecklina. Transponuje on kolor natury na najwyższy dostępny malarstwu ton; harmonizuje go w sposób bezprzykładowy: przetapia farby na powietrze, skały i wodę — tak, że obraz jego robi zupełne wrażenie na-

tury—i, dzięki temu—jest jednym z największych artystów, nie! lko dziewiętnastoletniego stulecia“—mówi Witkiewicz.

Staralem się, ile potrafiłem, zupełny dyletant, dać wyobrażenie ogólne o malarzu, wyobrażenie, które chcę zillustrować przykładami z jego dzieł, powołałem się na Witkiewicza, aby temu, co piszę, dodać wagę.

Mówić o wszystkich obrazach Boecklina jest niepodobieństwem; jest ich cała galerya, przeszło trzysta, będę się więc starał wybrać ze znanych mi te, które mi się wydają najcharakterystyczniejsze i najlepiej ilustrujące jego twórczość.

Jak Natura, która ma dziewczęce spojrzenia i lwi cios ręki: tak Boecklin w swojej fenomenalnej, nadludzkiej prawie zdolności koncepcyi, uśmiecha się naprzemian i uderza młotem o tarczę spiżową, rwie kwiaty i stacza głazy ze zrębu w przepaście. Oto olbrzymim Prometeuszem zawalił górę całą. O górę bije morze, mieniające się od purpury do czarności prawie morze. Porośle zbocza góry, drzewa oliwne o srebrzystych liściach gniewicher. Nad Tytanem szaleje burza, straszna, ponura, której dziką grozę w dziwny i nadzwyczajny sposób potęgują blaski słoneczne, przedzierające się przez chmury. Pejzaż fantastyczny: Szekspir malarstwa jest sobie

wierny—stworzył górę, jak stworzył Prometeusza. Kolosalność tej kreacyi dorównywa kolosalności Makbeta, a żaden z poetów, ani Ajschylos, ani Byron, ani Goethe, ani Shelley nie pomyśleli wspanialej tego, który się w obronie ludzkich praw porwał przeciw woli Zeusa. Obraz huczy i wyje burzą, a zarazem grzmi tak niebywałą potęgą geniuszu, że zdaje mi się, iż nie większe natchnienie miał Michał Anioł, kiedy ujrzał przed sobą Mojżesza.

U stóp góry, w morzu, Nereidy, owa Jonna i Pantea i Azya Shelleya, strwożone i stroskane. Straszliwa tragedia duszy ludzkiej, tej duszy olbrzymiej, która zawala sobą świat cały, a jednak nieruchomo w więzach swoich leży. Odwieczna tragedia myśli ludzkiej, jej woli, jej pragnień, jej samowiedzy, jej zdolności czynu wobec władzy fatalnej. Odwieczne cierpienie, odwieczny ból, odwieczna skała Kaukazu—i odwieczne zdumienie przed tym ogromem ducha, przed tą jego potęgą, przed tą jego dumą nieugiętą, przed tym bogiem ziemskim, który się duchem ludzkim nazywa. Odwieczna tragiczna, najtragiczniejsza walka między człowiekiem i władzą fatalną, między tem, co jest bezsilne i tem, co wszechmocne, co stworzyło świat, stworzyło człowieka, wraz stworzyło śmierć, ból i nie-

wiadomość. Odwieczny majestat bólu — odwieczne: cierpię, więc jestem duchem.

Drobne, małe, nikłe cząstki psychicznej istoty ludzkiej strwożone i stroskane tulą się do tej skały, którą zawalił sobą nieskończony, bezwieczny, rozumny, czujący i myślący duch ludzki. Patrzą nań w podziwie i grozie. Pojąć go nie mogą — jest dla nich za wielki. Tylko łkanie ich słyszać, łkanie tych Nereid, drobnych, małych i nikłych, zawodzących nad losem Tytana.

A oto, z koźlą nogą założoną na nogę, pstrzykając dla taktu w palce, odłożywszy na bok nuty i flet, wygodnie oparty o kępę trawy i kwiatów, brodaty Faun gwiżdże i uczy gwizdać kołyszącego się nad nim na badyłu szpaka, czy kosa; albo gdzieindziej dzieci tańczą nad potokiem w wiosenne rano, dziewczyna bawi się kwiatkiem, czule pary szepcą miłośnie, Pan gra na formidze nad przejrzystą sadzawką między ruinami korynckich, w liść rzeźbionych akantu, kolumn, albo ów sławny Pan w sitowiu, w Pinakotece monachijskiej, przed którym dusza się roztopia w zadumę i przepada w uroku — — spokój, cisza, harmonia.

Ile jest „idylli“, „wiosen“, „ranków wiosennych“, „obudzeń wiosny“, „idealnych krajobrazów wiosennych“ — nie wiem, ale sądzę,

że można o Boecklinie powiedzieć to, co powiedział o Goethem Napoleon wielki: *Voilà un homme* — oto cały człowiek, oto cała dusza ludzka, w najwyższem swoim napięciu od największej pogody do najstraszliwszego tragizmu, przez całą gamę uczuć, wrażeń i myśli, przez całe życie. A to życie jest krótkie, jak sen. Więc patrzcie:

Nad ruczajem, na którym płynie kwiat, dwoje nagich dzieci, zajętych nim i rozba-wionych, z bukietem w rękę, na prawo od nich, półnaga, a zdradzająca cały kształt, roz-marzona, „stworzona do pocałunków i uści-sków, na rozkosz i miłość“—dziewica; na le-wo rycerz średniowieczny w męskim wieku, z laną i w szyszaku, jedzie konno w świat, mężny, dzielny, pewny siebie, odważny i stwo-rzony do czynu pan świata; na górze, wprost nad dziećmi, szkielet śmierci ułamanym gdzieś sękatym kawałem drzewa uderza w kark sę-dziwego starca, który zgarbiony siedzi na ka-mieniach.

Pośrodku obrazu marmurowe wgłębienie, gdzie przez usta Sfinksowej głowy toczy się woda, tworząc później ruczaj, ponad nią zaś na marmurze napis: *Vita somnium breve* — życie sen krótki. Trawa, kwiaty, drzewa, marmury. Dzień na łące wiosennej; dziewczica pośród drzew idyllicznych, róż i słońca; przed

rycerzem otwarta przestrzeń i drzewa nad nim poważne; nad starcem chmury. Symbol życia. Coś jest tak niesłychanie wysokiego w tej kompozycji, tak niesłychany nastrój daje ta głowa Sfinksa, z której woda ciecze: że aby to wypowiedzieć, trzeba by być Beethovenem, czy Mozartem.

Wieczność życia szeleści w tej sączącej się strudze wody z ust symbolu tajemnicy, jakim jest Sfinks, jakaś nieskończona, bez dna i brzegu, początku i kresu, pogodna melancholia.

Oto jest życie tak, jak je ogólny, zdrowy, powszechny umysł klasycznego człowieka powinien i musi pojmować.

Życie, widziane z góry, takie, jakie być powinno, klasyczne, ma w sobie tylko tajemnicę początku i melancholię śmierci. Skąd wyszło życie? dokąd dąży? jaki cel jego? Z ust Sfinksa płynie struga wiecznej wody...

Gdyby życie było takim, jak Boecklin je myśli, byłoby szczęśliwem, byłoby szczęściem. Starzec czeka na śmierć, ale trzy generacye przed starością są szczęśliwe. Życie rzeczywiste nie jest takim, ale o takim powinno się marzyć i o takie starać. I oto Boecklin, ten fantastyczny, obłąkany prawie fantazją Boecklin, staje przed nami, jak mądry i dobry nauczyciel, jak jakiś mędrzec

platoński, pogodny, rozumny i wysoki mistrz życia.

Jest gdzieś na morzu, na pustem, nie-
skończonem, zaświatowem morzu, wiecznie
milczącym i wiecznie uśpionem, wyspa ska-
lista, pełna cyprysów, do której jakiś geniusz
wieczności wykował wchód, w skałach wy-
kował mieszkania, i tam to, przez tę milczą-
cą, wiecznie senną wodę, na długiej łodzi
czarny przewoźnik przeprawia dusze umarłych.

Spokój zupełny, można patrzeć wieczność
całą, nie ujrzy się na tem morzu żagla bia-
łego, ani łodzi wesołej. Tylko raz po raz w ci-
chej, niemej łódce czarny przewoźnik przy-
wiezie tu duszę ludzką, w białe płótno owitą,
która schylona, z rękami na krzyż złożonemi,
pokorna i milcząca wobec milczenia śmierci,
wpływa w tę przystań, aby już nigdy za-
mrok ten, za to morze nie wrócić. Jest coś
religijnego w tym obrazie i nigdy, bez wąt-
pienia nigdy, — żaden malarz dając główną,
przeważną wagę pejzażowi, nie wywołał tak
głęboko wzruszającego duszę nastroju, nie
namalował pejzażu, któryby budził tak głę-
boko wzruszającą duszę myśl.

Taka śmierć nie jest ani dramatem, ani
tragedyą. Obraz ten jest smutny, ale ten
smutek nie ma w sobie nic rozdzierającego:
jest to idylla śmierci.

Wielki poganin, najbardziej helleński umysł XIX wieku, może najbardziej helleński od istnienia samych Greków, nie namalował za przykładem Michała Anioła, czy Rubensa—sądu ostatecznego, nie odtworzył za przykładem Danta trzech kondygnacyi chrześcijańskiego *po śmierci*: wymalował zacisze, przystań spokojną, bez kar i bez nagrody, bez szatanów i bez chórów anielskich, wieczny, milczący wypoczynek istot, które tak żyły jak musiały, jak je zmusiła „tryumfalna, nad wszystko wyniesiona pierwotna potęga Natury“...

Niema tam nawet żalu greckich cieniów elizejskich. Duch Achillesa nie tęsknił by tu do światła dziennego, choć państwem cieniów rządzący. Tu jest niepamięć, zapomnienie wszystkiego, co było życiem. Pewna, cicha przystań, wiekuiste zatopienie się w bezkres, wpatrzenie się w siność morza i siność obłoków, jednotonna, niewzruszoną, niezmierną. W tej tragedyi, jaką jest śmierć, jest to najpogodniejsze pojęcie jej, jakie kiedykolwiek w duszy ludzkiej powstało. Obląkany prawie fantazją Boecklin, jak był nauczycielem mądrym i dobrym, kiedy życie malował, tak jest wielkim i mądrym pocieszycielem, kiedy maluje śmierć. „Wyspa umarłych“ uspokaja i ucisza. Może tam jest tak, a więc jest do-

brze. Ludzie odpływają, jak mgły z łąki na jezioro. Idą odpocząć.

Dwadzieścia kilka wieków zdmuchniętych jak opar, przez wiatr. Jak łódź przez gąszcz, nie czując gałęzi, idzie ku polanie, tak wielki malarz szwajcarski przez epokę chrześcijańską wraca wstecz w głąb czasów mitologii greckiej, w jej głąb najrdzenniejszą, bez wysiłku i trudu. I rozpoczyna się cały szereg arcydzieł, fauny, nimfy, trytony, centaury, najady, potwory i widziadła morskie, fantazyja w tym stylu może najwyższa, jaka istniała od czasu tych, którzy te mity tworzyli.

Brodaty więc Pan, wieczne bóstwo trwogi, przeraża głupiego arkadyjskiego pastucha, który ucieka wraz z kozami na złamanie karku wąwozem górskim; inny Pan, w sitowiu grający na piszczałce powietrzu, niebu błękitnemu, trzcinom wodnym, żabom i sobie, jedno z arcydzieł Boecklina i opokowy w jego życiu obraz. Do tej chwili Boecklin był nieznany, nieuznawany, przymierał nawet głodem razem ze swoją cudowną Rzymianką. Krytyka usiłowała go zabić, krytyka ta *sui generis*, tak skora do zabijania, do pamfletu i paszkwilu, jak nędzne i głupie są te głowy, które ją wytwarzają. Ale Boecklin szedł dalej. „Pan w sitowiu“ otwarł mu świat. Zwycię-

żył, jak Wagner, jak Ibsen — i obraz szedł za obrazem.

„Cisza morska“ — na skale, wśród zupełnie, zwierciedlnie spokojnego morza, pół kobieta, pół ryba, z rozplyniętą falą włosów; na rybim jej ogonie mewy, pod skałą zaś, w morzu, na wznak, potworny wodnik z pletwiastym i koleczastym ogonem, wystającym z wody; wokoło pusto.

Na tym obrazie da się może najlepiej widzieć, jak Boecklin *stwarza* swój świat. Twarz tej nereidy jest kobieca, ale nie ludzka. Tu jest właśnie dziwny geniusz Boecklina, aby nie czyniąc nic wbrew naturze, potrafić uwidocznić różnicę między światem ludzkim a nadludzkim, czy raczej pozaludzkim; ta nereida nie tylko dla tego nie jest kobietą ziemską, że ma rybi ogon, lecz oczy jej, rysy, wyraz, całe ciało od pasa, choć jest bardzo piękna, nie są kobieco-ludzkie. Zdaje mi się, że w tej mierze nikt Boecklinowi nie dorównywa. Kiedy Rafael namalował swoją Galateę ze stylizowanemi, jak do ornamentu, delfinami: namalował cudownie cudowne kobiety, które mają tę własność, że żyją w wodzie.

Cudowna również np. „Diane chasseresse“ Beniamina Constant'a, gdyby nie była naga i z łukiem, lecz w sukni—byłaby wspaniała, potężną kobietą. Byłyby kobietami również

wszystkie nimfy Rubensa, byłyby niemi Wenus z Melos, bogiem pozostałby Zeus z Otricoli—i nie mogłyby być ludźmi trytony i nereidy Boecklina.

Inny obraz—„Tryton i Nereida“: ona leży na wznak z ręką założoną pod głowę, bawiąc się dziko, namiętnie i lubieżnie z kolosalnym, świecącym się od barw wężem morskim, jak się bawia z kotami nerwowe, zmysłowe i podrażnione zmysłowo kobiety: tryton dmie w konchę w pomroku wieczoru.

„Idylla strasznego i tajemniczego żywiołu, jakim jest morze, idylla, gdzie zamiast motyla jest wąż, zamiast cichej łąki, brzęczącej owadami, ponury ryk ciemnej fali“ — mówi Witkiewicz.

Jeden z najślawniejszych arcydzieł Boecklina, a zarazem najpiękniejszy z morskich obrazów, jest monachijskie „In Spiel der Wellen“. Centaur zapędził się w morze za nereidą: ta bryznęła mu w fale, stopy tylko z drobną pletewką i trochę różowego tyłu pokazując napastnikowi, cała zresztą tonąca w przeczecznej wodzie.

Centaur opasły, ogromny, bronzowy, już, już chwycił rozkoszą zdobycz—osłupiał, oczy wybałuszył, grube wargi rozwarł, ręce kosmate rozpostarł...

Na froncie nereida o nogach, przerosłych w rybie ogony, lubieżna, leniwa, z koralami we włosach, płynie z ręką na ramieniu trytona, który ją wpół objął, brodaty, w wieńcu kwiatów na głowie; śmieje się — nereida ma ciało, jak wiosna, a w oczach i ustach pragnienie... Za nimi wynurza się coś straszego; zielona głowa o wylupiastych, potwornych oczach, o rozdętych policzkach i wargach, łysa, z grzebieniem kolczastym, jak u niektórych ryb, na czaszce. Ta głowa, to jest to, co Sienkiewicz lubi pisać: „nagle stało się coś dziwnego...”

Tajemna, niezbadana Natura nie ma dla Boecklina tajemnic i skrytości. Morze pokazało mu swoje cuda, pokazało mu widomie, o czem poeci tylko śnili.

„Milczenie w lesie“ (Das Schweigen im Walde). Na jakimś dziwnem zwierzęciu, które ma nogi jakby konia, ciało jakby lamy o barwie żyrafy, na głowie potwornego przeżuwacza jeden długi, prosty, stożkowaty róg: edzie kobieta zamyślona, milcząca, w koszuli, z nagiemi rękoma, założonemi na kolanie. Zwierzę jest wysokie, jak koń. Wkoło pnie leśne, pomiędzy które lśni powietrze.

Dlaczego to jest „milczenie w lesie?“ Dlaczego Bürger napisał swoją „Lenorę“, Poe „Czarnego kota“, Maeterlinck „Siedm księ-

źniczek?“ Któż to wie? Taka im przyszła myśl. Skąd? dlaczego? co znaczy? co mówi? Czy jest to właściwie myśl, czy raczej pomyślenie? Kwestya jest tylko jedna: czy robi wrażenie?—mówiąc bieżącym językiem; czy wywołuje nastrój?

Nastrój ma tylko jeden obowiązek: wprawić duszę w stan niezwykły, „nastroić ją“. Dlaczego się Boecklinowi cisza leśna tak wyobraża, a nie np. jako pusty zupełnie bór—na to nikt nie odpowie, z pewnością i on sam nie. Fakt jest tylko ten, że ten człowiek nie tylko greckie mity odczuł, jak nikt drugi, lecz i swoje własne tworzy, bo taka kobieta, jadąca na swym dziwnym wierzchowcu, zupełnie jest warta centaurów, albo Pana, jako plastyczne pojęcie. Fakt jest także, że obraz rozmarza i wprawia w zadumę, czyni więc to, co las, kiedy milczy, a zatem dopina celu.

Melancholię, tęsknotę, zamyślenie przedziwnie umie Boecklin odtworzyć. Taka „Willa nad morzem“ malowana dwa razy, w szarym, matowym tonie, raz podczas zachodu słońca, jest jednym z najsmętniejszych obrazów, jakie znam. Nad morzem, które się płytko rozlewa, a w nieskończoność idzie pośród cyprysów, które gnie wiatr od morza, wśród bujnej, dziko zapuszczonej roślinności, stoją ruiny willi; nad samą wodą, oparta o stary

mur kobieta, w długiej szacie, z układem rąk i nóg, jaki zwykle spostrzedz można u ludzi popadłych w smutną zadumę. Mewy unoszą się w powietrzu — zresztą jest absolutna pustka.

Głęboką, przygnębiającą tęsknotę tego obrazu równoważy może, jeżeli nie przewyższa — „Odysseusz u nimfy Kalipso...”

Kalipso, prawie naga, z harfą, siedzi u wejścia grotty; Odysseusz na zrębie skały, plecami do widza, patrzy na morze w przestrzeń. Wysoka, podobna do słupa, postać bohatera, w długiej draperyi, na podwyższeniu i na tle nieba, jest efektem malarskim niezrównanej mocy.

Tu jednak działa i bajka, którą znamy; wszyscy wiemy, jak ogromną jest tęsknota tego człowieka.

Mówi nam o tem najpiękniejszy, najdoskonalszy poemat, jaki jest na świecie:

On siedział tam na brzegu, płacząc; jego oczy
Nie osychały od łez; a pobyt uroczy
Truła ciągle tęsknica, bowiem do bogini
Serce stracił...

Na urwisku więc siedział w dzień osamotniony
Serce trapiąc wzdychaniem, lamentem, żalobą,
Wzrok topiąc ciągle w morze pustynne przed sobą.

W galeryi hr. Schacka w Monachium pierwszy z Boecklinów na ścianie: jest szturm

jesiennego wichru tak straszny, że liście le-
cą tumanem z poprzyginanych ku ziemi
drzew. Wśród drzew aleja, na lewo morze,
na prawo ruiny. Wszystko złoto-czerwone,
jesienne, w płomieniach zachodzącego słońca.
Płomień bije z obrazu; jest to taka potęga
koloru i jaskrawości, iż oślepia. W aleję,
na karym koniu z ogonem do ziemi i olbrzy-
mią, zwichrzoną grzywą, idącym w jakimś
dziwnym, szalonym ruchu — okręcony dra-
peryą wjeżdża szkielec. Jest to „Ritt des
Todes“ — jazda śmierci. Wśród tego huku
wichru, tych liści, które się palą na powie-
trzu krwawem od słońca, — w tej pustyni,
w tej ryczącej martwocie morza i ziemi, ten
konny kościotrup: to jest szarpnięcie nerwów,
jak szarpnięcie ręki olbrzyma za gardło.

Nieopodal tego obrazu wisi drugi, który
opisuje Witkiewicz. Pozwolę sobie przyto-
czyć część tego opisu: „Nad bagnami zaros-
łemi oczeretem, wśród którego płynie stru-
mień, stoją wierzby — przelatuje ciemną,
porozrywaną błyskawicami chmurą burza,
kołysząc gałęzie drzew i chyląc badyle trzci-
ny. Na ziemi leży trup, którego zabójca ob-
rabowuje — wszystko prawdziwe. Ale za
strumykiem, na którym leży kładka, stoją
trzy straszne, wstrętne wiedźmy — wyrzuty
sumienia, czy wogóle emblematy potworności

ci i okropności zbrodni. Jedna z nich na cienkich, jak patyki, łydkach, z ogromną napuchłą twarzą, owiniętą wieńcem zielonych żmij, patrzy jakąś straszną, rozwartą, krwawą żrenicą; drugie miotane gniewem, szamocą się, śmigając w rękę węzowymi biczami“. Tyle Witkiewicz.

Obraz w tragizmie nie ustępuje Makbetowi; ustęp w Balladynie po zabójstwie Aliny:

„Wiatr za mną goni i o siostrę pyta;
Krzyczy: Zabita! zabita! zabita!“

jakkolwiek potężny, prawie blady jest wobec tego obrazu. Potrzeba jakiejś miary Ajschylowej, aby tak zbrodnię pojąć i przedstawić.

Jeżeli teraz przypatrzymy się takiej np. rzymskiej winiarni, takiemu obrazowi „*Vinum bonum*“, gdzie wśród róż i bluszczów, w pełnem słońcu i w jasnym błękiecie, zataczają się, śpiewając i tańcząc, napół pijani Rzymianie; jeżeli spojrzymy na idylliczną „Skargę pasterza“ podług ody Horacego, lub na przepiękną — w wieńcu amorków, na łagodnym morskim potworze — płynącą *Venus Anadyomene*, której zmysłowy kształt przypomina Tycyanowskie kobiety; jeżeli przypomnimy sobie obrazy, o których mówiłem poprzednio: zaiste zdumienie musi wywołać taka skala fantazyi u jednego człowieka.

I nie tu koniec jeszcze. Boecklin jest także malarzem religijnym.

Z preraphaelistyczną prostotą wymaluje grającego na skrzypcach eremitę w kaplicy, z aniołkami, którym da swoją odrębną, naturalistyczną, realną cechę, aby obok tego wymalować anachoretę, biczującego się na urwisku skalnem pod krzyżem, nad którym krążą czekające na trupa starca kruki; aby na koniec sięgnąć do najwznioślejszych tematów nowożytnego malarstwa, namalować „Zdjęcie z krzyża“ i „Pietę“.

Opisywać tych obrazów nie będę; dla mnie najpiękniejszą postacią jest postać Matki Boskiej upadłej na ciało Chrystusa, której twarzy nie widać, a której boleść jest wyrażona z niezrównaną siłą w ruchu ciała i rąk. Obrazy te zresztą mogą się różnić zaletami kolorystycznymi od innych podobnych, są już jednak „na dany temat“, i jeżeli wartość ich może być nawet bardzo wielka, a istnienie nowym dokumentem wszechstronności wyobraźni Boecklina, to jednak nie one stanowią będą fundament jego nieśmiertelnej sławy.

Nie wiem, czy wymieniłem trzydziestą część obrazów, które Boecklin ogółem wymalował. Wielu rozproszonych po całym świecie, od Szwajcaryi aż do Azji, natural-

nie nie mogłem widzieć; nie o wszystkich mówię, które znam, starałem się wybrać ze znanych mi najcharakterystyczniejsze i najpiękniejsze.

Boecklin wywarł ogromny wpływ na współczesne malarstwo w Niemczech. Można by wymienić cały szereg malarzów — zaczynając od najzdolniejszego z nich, autora „Wojny“, „Grzechu“ i „Sfinksa“, Franza Stucka — którzy wyszli z jego szkoły. Ale ta szkoła jest obosieczna, bo jeżeli ten „może największy kolorysta jaki istniał“, może, jak nikt drugi, wskazywać, do jakiego ideału dążyć i dojść powinna malarska technika, to z drugiej strony, jako twórca, jest on tak samodziśny, tak oryginalny, że naśladować go niepodobna, aby go — nie naśladować, to jest, mówiąc wyraźnie, nie kopiować, lub nie przerabiać.

Wielkie talenty, zaczerpnąwszy tchu u mistrza, idą w swoją drogę; małe kręcą się w zaczarowanym przez niego kole. Nie tylko jednak w Niemczech, lecz po całej Europie rozszerzył się powoli Boecklinizm; u nas najwięcej znać go może na zmarłym nieodżałowanej pamięci Pruszkowskim.

I nie tylko w malarstwie odcisnął wielki Szwajcar swoją lwią łapę; zarówno w rzeźbie (widziałem np. w Berlinie wodnika nad uto-

pioną kobietą, żywcem w gips skopiowanego z Boecklina), jak i w poezyi (Waldschrat i Nickelmann w „Dzwonie zatopionym“ Hauptmanna) jest już, a wywrze niewątpliwe wrażenie na muzykę. Czy „Wyspy umarłych“, „Vita somnium brewe“, Willi nad morzem“, „Odysseusza u Kalipso“, „Pana w sitowiu“, idylli morskich nie mógłby doskonale ilustrować muzyką jakiś Chopin, Schumann, albo Grieg, który tak cudownie zillustrował w swojej suicie fantastycznego ibsenowskiego Peer-Gynta?

Boecklin jest do dziś najpotężniejszym malarzem *nowej sztuki*. Jakiegokolwiek, gdziekolwiek przybiera ona kierunki, chyli przed nim głowę, albowiem Boecklin nie należy do *szkoły*, lecz do sztuki, nie do chwili, lecz do historii. Pozostanie na zawsze, jako fenomen, jako bezprzykładna fantazya i bezprzykładna samodzielność, pozostanie zawsze wielkim malarzem dla tych, dla których *sztuka* jest wielką.

Takim jest Boecklin, takim jest ten człowiek, którego urodziła olbrzymia Matka - Natura, co morza przerzuca i góry kołysze, i najpiękniejsza jej Córa, Grecya, grecka legenda, grecka baśń. Takim jest ten człowiek, przed którym Natura stanęła wielka, naga, odwieczna, przedziwna, w całym swoim ma-

jestacie i przepychu, olbrzymia, tajemnicza, cudotwórcza i straszna, podobna do ogromnej bogini, z łukiem i kołczanem strzał śmiertelnych w jednej, z kwiatami i puharem winnym w drugiej dzierzonym dłoni. Takim jest ten człowiek, przed którym z pomiędzy dzikich, szalonych, skrzęsanych skał wylał się strumień, zdroj cichy i świetlisty, przed którym otwarły się groty, tajne, zaciszne groty w wesolych, puszystych, rozkołysanych wzgórzach, omajone bluszczem, o uroczych wejściach, zawrotne, obłędne, podobne straszliwym ośmiornicom w głębi przepastnej. Takim jest człowiek, dla którego niema dziwów niepojętych, tajemnic niezbadanych, skarbów zanadto zaklętych i zanadto strzeżonych; człowiek, dla którego jak dla z przed trzech tysięcy lat attyckiego pasterza, Pan gwizdże w sitowiu, ziemia i niebo, morza i chmury zabóstwiają się, przyoblekają kształt ludzki, dla którego rzeki, jak ongi, były czystych dziedziną Nimf, a zwierciadłem źródła tajemnicze, któremu w każdym wichrze leci bóg, w każdej fali bogi igrają.

Życie objawiło mu się, jak się objawia oczom alpejski szczyt, z którego chmury opadną. Straszliwe otchłanie przepaści lecą w dół, dyszą gdzieś w zawrotnej wyżynie turnie i iglice, fale pąsu, szafiru, srebra i złota ol-

śniewają, otumaniają oczy. Objawiło mu się życie, jak chaos w dniach stworzenia, potworne swoim bogactwem, swoim przepychem, bujnością. Kaskadą runęło mu przed oczy, lawiną barw, kształtów, myśli i czuć.

Tryumfalnym duchem ludzkim jest Boecklin.

Tryumfalny duch! Jest coś w duszach ludzkich wyższego nad ziemię, wyższego nad istnienie ziemskie; jest coś w duszach ludzkich, co się gdzieś za ziemią poczęło, nad ziemię rwie, nad nią unosi. Jak Prometeusza Zeus przykuł do skały Kaukazkiej, ale mu myśli skrepować nie zdołał; tak nad życia klęski i boleść wznosi się duch, duch za ziemią, nad ziemią zrodzony. Tam jego ojczyzna! Jest jakiś kraj, gdzie klęska i ból ziemski dojść nie mogą, jest jakaś łąka mistyczna, gdzie między zioła, między kwiaty polne

I lilie, srebrnym świecące się puchem,
Czyste i ciche chodzą dusze wolne,
Czujące rozkosz najwyższą: być duchem.

Jak bóstwo duszy ludzkiej gdzieś wysoko, wysoko, gdzieś w zawrotnej wyżynie, wśród turni i iglic przepastnych, wśród obłoków i huków skał najwyższych... Wyteżmy oczy, a potem wyteżmy ramiona, wyteżmy piersi nasze... Czy je widzicie? Oto kędyś, wysoko,

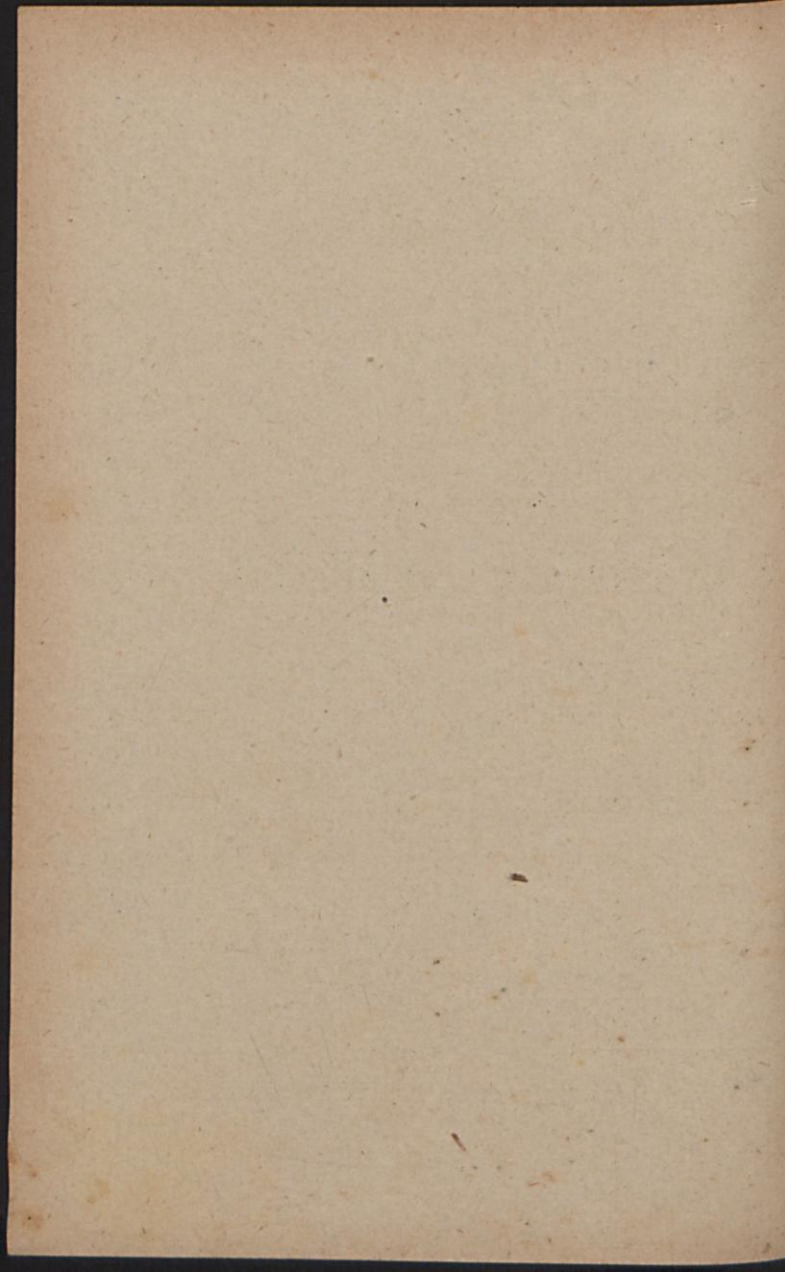
wśród skał najwyższych, gdzieś wyżej, wyżej jeszcze, gdzieś wśród gwiazd, gdzieś nad gwiazdami jeszcze — — czy je widzicie? W ogromnej, w nieskończonej, w bezkreśnej Przestrzeni, w wieczystej Ciszy, w wiekuistym Świetle: tam krąży to, co jest boskie w duszy ludzkiej, to, co jest w niej tryumfalne, to, co jest jak Natura nad wszystko wyniesione, niepokonane niczem i nigdy.

Boecklin urodził się w Szwajcaryi; u nas Jan Matejko.

1899 r.

EWOLUCYA I REWOLUCYA*).

*) Pierwszy rozdział książki Elizeusza Reclus.



Zwrócił się do mnie niegdyś, w epoce wyjątkowej, jeden z redaktorów warszawskich z życzeniem, aby mu napisać fejleton pod tytułem „Współczesna dusza polska“. Wy-
padki jednakże leciały tak szybko, a „Współ-
czesna dusza polska“ krystalizowała się tak
rozmaicie, objawiała w tylu różnych formach
i przybierała tak różne postacie, że ująć ją
w jakąś klamrę, powiedzieć jej: jesteś tą,
a nie inną—niepodobna. Byłoby to rzeczywi-
ście mierzenie „siły na zamiary“.

To pewna, że współczesna dusza polska
przechodzi zmiany: jest w stanie wrzenia
i formacyi, w jakich nigdy nie była. Prze-
wracają się i odwracają wartości. Stare —
nie „prawdy“, bośmy w nie dawno, z wyjąt-
kiem głupców, wierzyć przestali, ale stare

zwyczaje ustępują z pola. Przewrót idei, wyobrażeń, przywyknień odbywa się w naszych oczach z dnia na dzień. Nie ostoi mu się nic. „Burżuj“, mieszczanin, szlachciz, arystokrata, nawet ksiądz, wszystko ulegnie zmianie i *uledz zmianie musi*. I czują to wszyscy ci z tych sfer, którzy mają jakikolwiek rozum w głowie. Zarówno wogóle wśród masy ludzkiej, jak poszczególnie u każdego człowieka odpadną pewne przeżytki, na miejsce których wyrosną nowe zdobycze pojęć i chęci. Przekształca się człowiek, przekształca się rodzina, przekształca się społeczeństwo, przekształca się *dusza ludzka*. Nie brońcie okopów świętej Trójcy, wy, którzy ich bronicie! Czas wasz przeminął — musicie ustąpić, i nie pocieszajcie się tem, że jednak stary porządek rzeczy zawsze będzie wracał, że przetrwał on już „nie takie czasy“ i że „może się coś ugiąć, ale nie może runąć“. Owszem — może runąć i runie. Przedewszystkiem muszą runąć i runą przywileje warstw uprzywilejowanych; w tym kierunku rewolucya i ewolucya prą najmocniej, najuparciej i najpewniej. Wszystko inne jest niby pobocznym dodatkiem. Niższe sfery dźwigają się do góry — chłopi i proletaryat miejski. Chcą oświaty, chcą nauki, chcą poprawy i bytu i stanowiska w towarzystwie ludzkim. Idą ku

temu może i nie zawsze drogą dobrą, ale idą w tak olbrzymiej masie, że dojdą. Naturalnie, odbywać się to musi powoli. Nie może wieloryb wykonywać w morzu tak szybkich ruchów, jak szczupak w rzece, ale może nieskończenie dalej zapływać.

Nad przemianą wartości, nad przemianą ustrojów społecznych, odkąd ludzkość, raczej odkąd świat istnieje, pracują dwie moce: moc ewolucyi i moc rewolucyi. W tych dwóch drogach przerabia się i przeinacza ziemia, przerabia się i przeinacza ludzkość. One to, ewolucya i rewolucya, zapobiegają zastojowi, zamarceniu istnienia, stwardnieniu i zaskorupieniu się jakiegokolwiek bytu. Wszystko musi naprzód dążyć — nawet śmierć stwarza życie. Nic nie może stać w miejscu. Wieczna twórczość przenika wszechbyć — tworzy ciągle i bezustannie światło słońca, ruch oceanów, czy wewnętrzne stygnięcie ziemi, jak tworzy spokojna woda w sadzawce, czy rozmarzona leniwa dama w różowym staniu i białej spódnicy na balkonie.

Od czasów jednej z największych epok w dziejach ludzkości, od czasów rewolucyi francuskiej, dwa te słowa: rewolucya i ewolucya, weszły potężnie na porządek dzienny myśli ludzkiej. I dlatego sędzę nie od rzeczy będzie opowiedzieć, kto nie czytał, jak zna-

komity myśliciel francuski, Eugeniusz Reclus, dwa te wyrazy tłómaczy.

„Ewolucya—powiada—jest nieskończonym ruchem wszystkiego, co istnieje, nieustanną przemianą wszechświata i wszystkich jego części od przedwiecznych początków i przez bezkres wieków. Drogi mleczone, widne w bezbrzeżnych przestrzeniach, które się krystalizują i rozpadają w czasie milionów i miliardów wieków, gwiazdy, które się rodzą, które się skupiają, i które umierają, nasz wir słoneczny ze swoją gwiazdą centralną, planeta-mi i księżycami, a w ciasnych granicach naszego małego ziemskiego globu góry, które się wznoszą i nikną, oceany, które się tworzą, aby wyschnąć z kolei; rzeki, które się pienią w dolinach, a potem wyparowują, jak rosa poranna, pokolenia roślin, zwierząt i ludzi, które następują po sobie, i miliony niedostrzegalnych istnień, od człowieka aż do komara: wszystko to nie jest niczem, jak tylko przejawem wielkiej ewolucyi, oplatającej wszechświat w swój bezgraniczny odment.

„W porównaniu tego pierwotnego faktu ewolucyi i życia powszechnego czem są wszystkie te małe wypadki, nazwane rewolucjami astronomicznymi, geologicznymi, czy politycznymi? Prawie nieodczuwalne drgnienia, prawie złudy. Myryadami po myryadach nastę-

pują po sobie rewolucye w powszechnej ewolucyi; ale, jakkolwiekby były małe, są częścią nieskończonego ruchu“.

To jest to, co mówi Duch do Fausta:

„W falach żywota, w burzy czynów,
wznoszę się, spadam,
przędę tu i tam!
Narodziny i Śmierć,
wieczyste morze,
przemienną przędzą,
płonące życie,
przetwarzam przy warczącym warsztacie czasu
i czynię żywy płaszczyzn bóstwu“.

Tylko Elizeusz Reclus nie widzi na końcu, czy u szczytu pracy: *bóstwa*, nie wie, gdzie go ewolucya przez rewolucyę ku boskości. On trzyma się ziemi i poza nią nie sięga. *Wszystko* nie prowadzi ku żadnym nadzmysłowym pojęciom—tu jest tylko ziemia.

„Wielkie dni są zwiastowane... Na końcu wszyscy przeciwnicy ustąpią i ustąpią bez walki. Przyjdzie dzień, kiedy Ewolucya i Rewolucya, bezpośrednio przechodząc z pragnienia w czyn, z idei do realizacyi, zleją się w jedno i to samo zjawisko. W ten sposób działa życie w organizmie zdrowym, czy to człowieka, czy świata“.

Zrozumieśmy jednak dobrze treść słów: ewolucya i rewolucya.

„Nauka—powiada Reclus—nie zna żadnego przeciwieństwa między temi dwoma słowami, które są do siebie tak podobne, ale które w mowie potocznej są używane w sensie zupełnie odmiennym od ich pierwotnego znaczenia... *Ewolucyę*, synonim stopniowego rozwoju w ideach i obyczajach, przedstawiają jako przeciwstawienie tej strasznej rzeczy, jaka jest *Rewolucya*, dokonywającej przemian mniej, albo więcej brutalnych. Z pozornym, albo nawet i szczerym entuzjazmem mówią ludzie o ewolucyi, o powolnym postępie w komórkach mózgowych, w tajniach rozumu i serca, ale niech im nikt nie mówi o wstrętnej rewolucyi, która wylata nagle z głów, aby wybuchnąć na ulicy, przy akompaniamencie wycia tłumu i huku strzałów.

Tymczasem — powiada Reclus — dowodzi się tylko wielkiego nieuctwa, widząc między ewolucyą i rewolucyą kontrast, jak między wojną i pokojem, łagodnością i gwałtem. Rewolucye mogą się odbyć pokojowo, przez zmianę niespodzianą wewnętrzną; sprowadzającą przewrót w interesach; równocześnie ewolucye mogą być bardzo znojne, połączone z wojnami i prześladowaniami. Jeżeli wyraz ewolucya chętnie słyszą ci nawet, którzy że zgrozą patrzą na rewolucjonistów, to znaczy, że nie zdają sobie sprawy z wartoś-

ci tego słowa, gdyż rzeczy jako takiej chcą uniknąć za wszelką cenę“.

I powiada Elizeusz Reclus wielką prawdę, u nas tak bardzo dającą się zastosować. „Mówi się z uznaniem o postępie wogóle, ale odpycha się postęp w szczegółach“, czyli w danych faktach. To jest właśnie to, co czyni nasza burżuazya, wszystko to, co się pod jej nazwę dziś podciąga, nie tylko zatem przemysłowcy, kupcy i fabrykanci, ale w czambuł i prawie bez wyjątków ci, którzy się liczą do „górnych dziesięciu tysięcy“.

Reclus zakreśla pojęciu szerokie koło. „Ewolucya—mówi on — obejmuje zespół rzeczy ludzkich, a rewolucya powinna go również ogarniać, jakkolwiek nie zawsze widać powinowactwo pomiędzy poszczególnemi wydarzeniami, z których się składa życie społeczeństw. Wszelki postęp jest solidarny—socyalny i polityczny, moralny i materialny, naukowy, artystyczny, czy przemysłowy... Historya jest tylko seryą czynów, wynikłych z przygotowań—evolucya poprzedza rewolucyę, a rewolucya poprzedza nową ewolucyę, matkę przyszłych rowolucyi“.

Tu daje Reclus plastyczny przykład: dwa te przejawy różnią się między sobą tylko epoką pojawienia się. Ktoś buduje tamę, pod-

mywa ją i pewnego dnia następuje katastrofa, jezioro spływa, a rzeka staje się znowu rzeką, w pewnym kierunku płynącą.

To, co teraz z kolei następuje, jest bardzo mądre. „Jeżeli rewolucya zawsze się opóźnia w stosunku do ewolucyi, to dlatego, że napotyka na opór, podobnie jak piorun, który huczy w niebie, ponieważ atmosfera przeciwstawia się błyskawicy, wyszłej z chmury. Każda przemiana materyi, każda realizacya idei natrafia na opór inercyi samych warunków, i nowy fenomen nie może inaczej powstać, jak tylko przez wysiłek, i to tem gwałtowniejszy, im potężniejszy jest opór“. Herder określał w ten sposób: „Ziarno pada w ziemię, długo wydaje się martwym, potem nagle kiełkuje, przebija twardą ziemię, wydobywa się na wierzch i staje się rośliną, która kwitnie i wydaje owoc“. I podobnie rodzi się dziecko, które z łona macierzystego wydziera się gwałtem, następstwo faktu ewolucyjnego.

Sluszenie zwraca Reclus uwagę, że konsekwencya zjawisk rewolucyjnych i ewolucyjnych może się wydawać wątpliwą. Wprawdzie wielki Linneusz twierdził, że natura nie czyni skoków (*non facit saltus natura*), ale też w naturze nic nie staje się bezpośrednio

jedno z drugiego, podobnie jak syn nie jest kontynuacją ojca, czy matki.

Kwiat nie jest przedłużeniem liścia. Wszystko staje się nowem istnieniem. Każdy byt wytwarza się w nowym kształcie z danego materiału. „Drzewo genealogiczne bytów, jak prawdziwe drzewo, jest zespołem gałęzi, z których każda znajduje siłę życia nie w swej poprzedniczce, ale w soku żywotnym, krążącym w miazdze.

Dzieło Elizeusza Reclus o ewolucyi i rewolucyi jest duże i pierwszy tylko jego rozdział streściłem. „Współczesna dusza polska“, której definicyi jeden z warszawskich redaktorów sobie życzył, ma teraz nielada zadanie przed sobą: musi ona dobrze zrozumieć sama siebie, a zarazem dobrze zrozumieć filozofię życia. Chodzi o to, *aby była myślącą*. Da jej to dużo dobrych chęci, a odciągnie ją od melancholii. Świadomość, rozumienie, zdawanie sobie sprawy daje ogromną satysfakcję. Jest pewna wyższość w umyśle rozumującym i rozumiejącym, w umyśle sięgającym w przyszłość, we wzroku dłuższym, niż koniec nosa. Jest także wielkie zadowolenie w uczuciu, że co się dzieje i staje, nie dzieje się poza mną i mimo mnie, ale że i ja osobiście biorę w tem jakiś udział i rozumiem, co się staje. Tymczasem u nas, w naszych „górnym dzie-

sięciu tysiącach“ jest i tego współudziału i tego rozumienia, pojęcia, bardzo mało. Słowa dźwięczą, jak pieniądze rzucane na miedziany talerz, ale też i tylko tyle. „Mówi się bardzo życzliwie w ogólnikach o ewolucyi, a'le się odpycha ze wstrętem [rewolucyę“... Nie jest tu mowa naturalnie o rewolucyi bomb, browningów i sztyletów, ale się *nie rozumie*, co znaczy — poza taką uliczną — rewolucya. Tymczasem ta rewolucya psychiczna, rewolucya stanu dusz, mózgów i serc trwa od tak dawna, jak dawno istnieje świat, trwać będzie zawsze, ona jest „wodą żywota“, ona jest chlebem istnienia moralnego, dźwięnią powszechną. Jest to rozpeknięcie kwiatu po powolnej ewolucyi rośnięcia. Nie kończy się i nie ustaje nigdy, bo z jej śmiercią zamarł by świat. Lecz jakże patrzy na nią *egoista*? „Daleki od szukania sprawiedliwości dla wszystkich, kontent jest, jeśli może zdobyć jaki przywilej dla własnej osoby“.

Czy czujecie wy, z „górných dziesięciu tysięcy“, że odbywa się w was jakaś przemiana materji, że z ewolucyi dusz waszych wynika jakaś rewolucya waszych pojęć i uczuć? Czy czujecie, że nie jesteście wyłącznie i jedynie tym egoistą Elizeusza Reclus? „Ustrój społeczny, jaki jest, daje chleb, daje pieniądze, stanowiska, zaszczyty, a więc niech lu-

dzie mądrzy starają się wykorzystać, ile się tylko da, dary fortuny!“.

Czy tak? „Jeżeli jakaś dobra gwiazda, świecąca ich urodzinom, uwolniła ich od wszelkiej walki, a dała im w dziedzictwie nie tylko potrzebne, ale i zbytek, o cóżby się skarżyli?“ Czy tak? Zatkanąć uszy, jak Odyszeusz woskiem, płynąć. „Dla najedzonego cały świat po obiedzie“. I zawsze jeszcze ideałem jest: „bogactwo, władza, znaczenie, dobrobyt“?

Lecz przypomnijcie sobie, co Mickiewicz włożył w „Panu Tadeuszu“ w usta Napoleoniowi przez usta Jacka Soplicy do niedbających Litwinów: „Obejdę się ja bez was!“...

Ewolucya i rewolucya dusz idzie—i trzeba jej wychodzić naprzeciw, jak dzieci jerozolimskie naprzeciw Chrystusa, z palmami i kwiatami, z wiarą, miłością i dobrą chęcią w sercu, z głośnym okrzykiem: Hosanna! Dziećmi tylko jesteście, drobiazgiem wobec tego Króla królów, choć w lnianej szacie! Śmieszni i nędzni mi się wydajecie w swoich herbowych, czy nie herbowych pałacach, wy — niechętni rozwojowi duszy. A czyż ona pyta o was? Czyż ona zważa na was? „Czyż widzi was, dostrzega“. Jesteście ziarnkami grochu, leżącymi na szynach pociągu—nawet nie wie że przejechał.

Czas już, czas przestać „konserwować“ „stan obecny“, „chociażby nawet był zły“, bo „realizuje ideał: bogactwa, władzy, znaczenia, dobrobytu“. Czas!

„Kiedy widzimy — mówi Reclus o sobie i o swoich — kobietę czystych uczuć, szlachetnego charakteru, nieposzlakowanych obyczajów, która zniża się do prostytutki i mówi:

Jesteś moją siostrą; przychodzę stanąć obok ciebie, aby walczyć wraz z tobą przeciw agentowi, który cię znieważa i kładzie rękę na twoje ciało, przeciw lekarzowi policyjnemu, który cię każe chwytać dozorcą i gwałci cię swoją wizytą, przeciw całemu społeczeństwu, które tobą pogardza i kopie cię: nikt z *nas* nie zwróci uwagi na ogólne pojęcia i nie odmówi wyrazu czci dzielnej ewolucjonistce, walczącej przeciw bezczelności oficjalnego świata“. A „burżuazya“ co? Przedewszystkiem rozśmiej się; rozśmiej się szeroko i głęboko, bo przedewszystkiem śmiać się musi kołtun (w mitrze, czy w cylindrze), który czego nie rozumie i gdy czego nie rozumie. A „bohaterami są wszyscy ci, którzy w jakim bądź kraju, w jakimkolwiek czasie umieli się poświęcić bez myśli o sobie dla sprawy powszechnej, jakikolwiek był ich horyzont i niech każdy z nas ich pozdrowi

wzruszony i powie sobie: umiejmy im wyrównać na naszym polu bitwy, innem, obejmującym całą ziemię całą!”

Albowiem wszystko, co jest rewolucją, łączy się z sobą, czy dotyczyć będzie „potężnego nędzarza i prostytutki, czy niezmiernych kręgów życia ludzkości, i niema tak małego zakresu działania, któryby nie powinien być podziwiany“.

Ogromny Chrystus—w swoim pojęciu—zbawiał świat, a mała Marya Magdalena namaściła Mu nogi i póki pamięć Chrystusa nie zaginie, nie zaginie pamięć o Maryi. Oboje wykonali czyn rewolucyjny—podług miary.

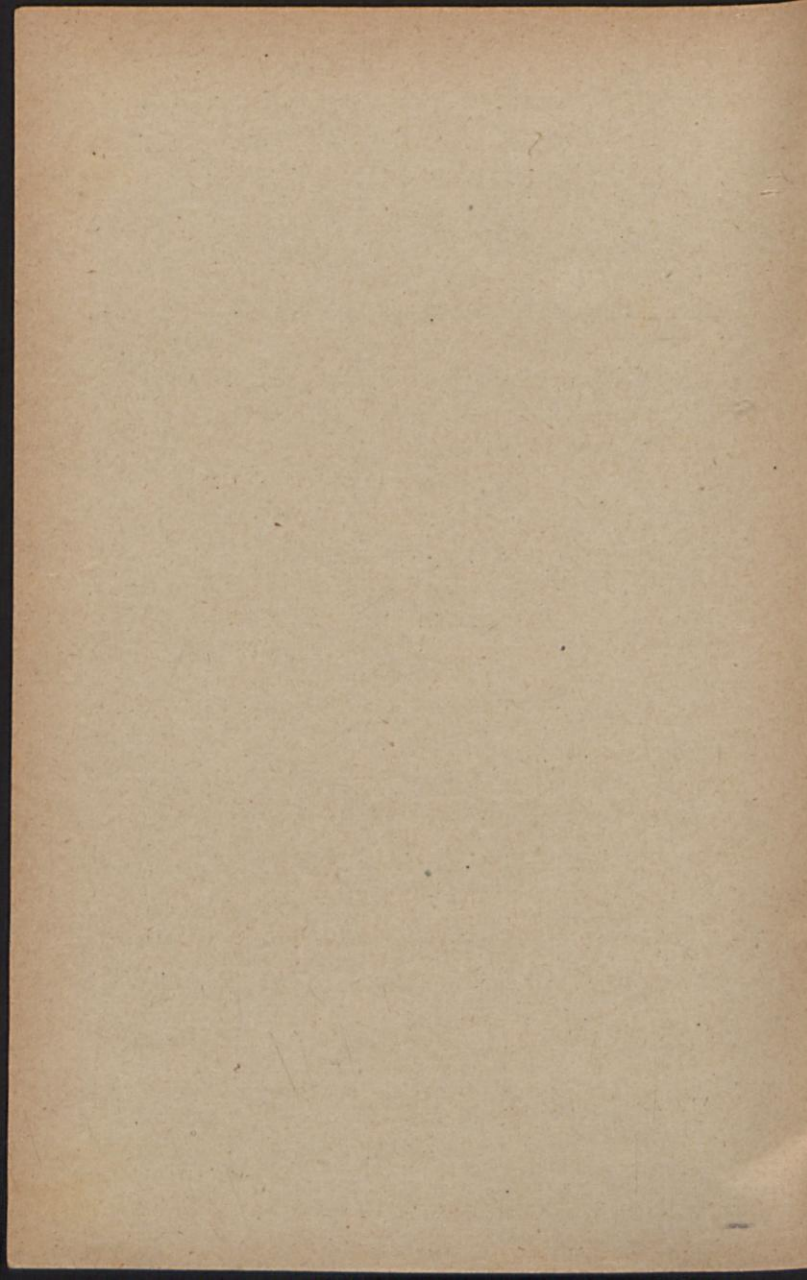
A wy? Jeżeli „jaka dobra gwiazda, świecąca waszemu urodzeniu, dała wam potrzebne, a nawet zbytek“ — to „usiłujecie wmówić w siebie, że cały świat jest tak zadowolony, jak wy“, Usiłujecie tak wmówić w siebie, choć wiecie, że to nieprawda—najmędrsi z was mówią: *to trudno*, taki jest porządek rzeczy... Ale patrzcie, o burzuje wszelkich odcieni i niuansów, *jak łatwo* kolej żelazna przejeżdża po ziarnkach grochu, rozsypanych na szyny. Duch czasu to nie jest goethowski „własny duch panów“, to jest ten Duch goethowski, który „w falach żywota, w burzy czynów

wznosi się i spada,
przędzie tu i tam!“

i spyta: „Tyś to jest, co mym tchem owia-
ny, we wszystkich głębiach życia drżysz, ro-
bak skurczony z przerażenia?!“

LULUSIA.

Fragment.



Bohater mój zwyczajem starym
Musi zaprezentować się,
Czy na łbie siwym był czy karym
I jakie imię wziął na chrzcie?
Ale z uprzejmą stańcie miną
I zmieńcie do ukłonu krok,
Bohater bowiem był dziewczyną
I zaczął dziewiętnasty rok.

Miał włosy lekko karbowane,
Gęste i miękkie ciemno-blond,
Uszka maleńkie i różane
I precudownych ząbków rząd.
Miał dołek w bródce i na twarzy
Dwa dolki — istny cud i szal!
I co się komu tylko marzy,
Bohater mój to wszystko miał.

Oczy błękitno-srebrno-szare,
Przedziwny i mistyczny kwiat:
Gdy chciał, to je zamieniał w szparę,
Gdy chciał, to niemi zakrył świat.
Oczy błękitno-szaro-srebrne,
Wilgotne, świetne, czar i cud!
Gdy chciał, jak słońce lśnią podniebne,
Gdy chciał, to je zamieniał w lód.

Szaro-błękitno-srebrne oczy,
Mistyczny struny serca dźwięk:
Gdy chce, melodyą cię otoczy,
Gdy chce, zgrzytliwy wyda brzęk.
Oczy błękitno-srebrno-szare:
Cień palm południa, zapach róż.
Tatrzańskich sennych jezior parę,
Para gwiazd błędnych — para burz!...

Nos prosty, grecki, troszkę w górę
Zadarty, sam koniuszcek wspak;
Brwi w luk ogromny, złoto-bure,
Jak gdyby rajski wzlatał ptak;
Czoło podłużne, gładkie, białe
Owal pociągły, jasna pleć,
Usta wiśniowe, greckie, male,
Na skroniach modrych żyłek sieć.

Szyja — ktokolwiek — (sam powiada
Słowacki) — we Florencyi był
I widział tam, jak cudnie spada
Linia od głowy Wenus w tył:

Ktokolwiek widział, jak z pod brody
 Lustr marmurowy splywa w dół.
 Kto, jak pogańskie czuł narody,
 Kto piękno tak, jak Grecy, czuł:
 Ten się nie będzie dziwił wcale,
 Że mi na szyi zawisł wzrok...
 Kiedy wschodziła po nad fale
 Wenus w przedświtu blady mrok;
 Jedna z fal, które piersią bije,
 Do słońca uczepiona szprych,
 Spadła się zmienić w białą szyję
 U heroiny oktaf mych.

Ramiona smukłe, krągłe, pełne,
 Krągły, wysmukły, pełny gors —
 Lecz na to wszystko rzucam welnę,
 Jak płaszcz pod Afrodyty tors,
 Z bronzu wykuty w Watykanie;
 „In unsern Kleidern alle nackt
 Stecken wir“ — Goethe rzekł. „Poganie“
 Znali ten stary, pewny fakt.

Na imię było jej Lulusia,
 Lulusia — n'est-ce pas? ślicznie brzmiał
 Kiedy z kościoła szła, jak trusia,
 Ściągając złoto-bure brwi:
 „Panna Lulusia!“ — szept w koło,
 „Panna Lulusia!“ — szmery w krąg —
 Panna Lulusia chyli czoło
 I czar ma w sobie wiejskich łąk.

Lulusia imię, a nazwisko
Mej bohaterki -- kryje mgła,
Nie urodziła się zbyt nisko,
Ni też, gdzie krew błękitna gra;
Ze średniej pochodziła klasy,
Ojciec był szlachcic, matka zaś
Z domu Kufkówna. Ananasy
Kupował u nich sam „Król Staś“.

Kufkowie to szlachetny metal,
Nie byle komu do ich furt!
Nie znali nigdy co to detal,
A zawsze tylko znali hurt.
Rodzenki, wino, czy apteka,
Mydła, herbata, co byś chciał:
Nie było jeszcze tam człowieka,
Co handel detaliczny miał.
Więc dygnitarska ta rodzina
Uszlachcić chciała się na gwałt —
Nie złowił wprawdzie karmazyna
Matki Lulusi pulchny kształt,
Ale szlachetka, co z folwarku
Z herbem wyleciał precz i z psem,
Nabyty został na jarmarku,
Który my karnawałem zwiem

Pies miał pięć pałek na obroży,
Pięć pałek na serwetach lśni,
Na porcelanie — jeszcze gorzej,
Figaro la, Figaro ci...

Z takiego domu czyliż główkę
Nie słusznie panna w górę pnie?
Nigdy detalem żaden Kufke
Dotąd nie schañbił jeszcze się.

Panna mówiła po francuzku,
Angielski język znała w lot,
Niemka wozila ją we wózku,
Na spacer wiodła mistress Scott;
Tańczyła jakby z corps de ballet,
Łyzeczkę brała w palce dwa —
Widzieć umiała doskonale,
Niewidzieć — quand il ne faut pas.

Na fortepianie Chopin, Schumann,
Mozart, Beethoven, Liszt, Bach, Grieg,
Mieszała wszystko w jeden tuman,
Grieg w Bachu, w Liszcie Mozart nikł;
Śpiewała — Tosti, Kratzer, Händel,
Strauss, Brahms, Milloecker, Wagner, z nut
Przytem pejzażów cały mendel
Z mórz, jezior, w zimie, w lecie z wód.

Lepiła w glinie, w drzewie cięła,
Rzeźbiła, wypalała też;
Gdzie stąpisz: same arcydzieła!
Jeśli nie mnie, to ciotkom wierz!
Lulusia było to wcielenie
Wielkich talentów, nauk, sztuk —
Godnie stać mogła na arenie,
Gdzie stanąć jej przeznaczył Bóg.

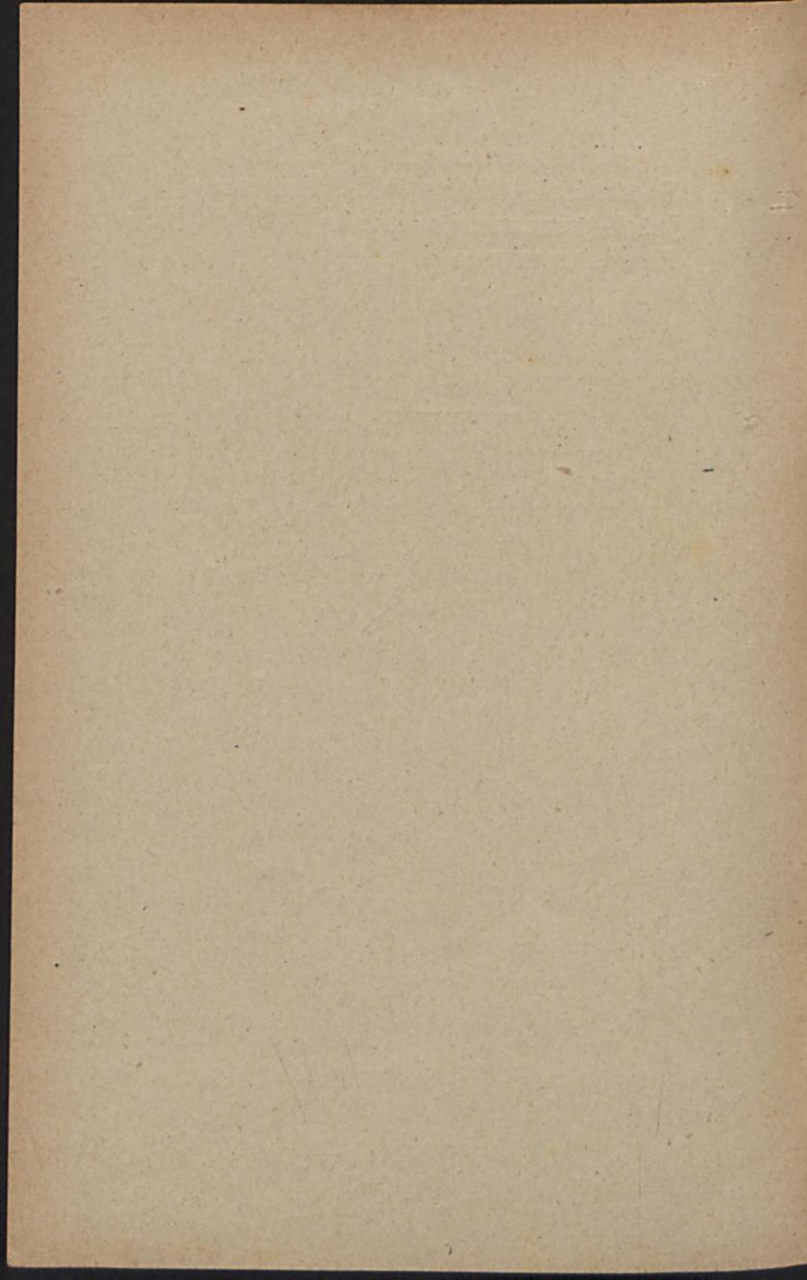
Marzeniem jej od szkolnej ławy
Było — sen, który jej się śnił —
Aby tak sprawił Bóg łaskawy,
By o nią pojedynek był.
Dwóch mężczyzn, którzy w zgubnym szale
Nawzajem o nią zwodzą bój —
Ach! Co za chwala w karnawale,
Jaka reklama — Boże mój!

I inne miała ideały:
„Grasseywowała“ mocno r,
Tak, że ją czasem szwaczki brały
Za coś naprawdę z wyższych sfer,
Prócz tego Battistini, Pillisch,
Herse, D'Annunzio, Hackenschmidt —
(Ale tu się, kochanko, mylisz —
Piędziesiąt dziewic, to jest myt).

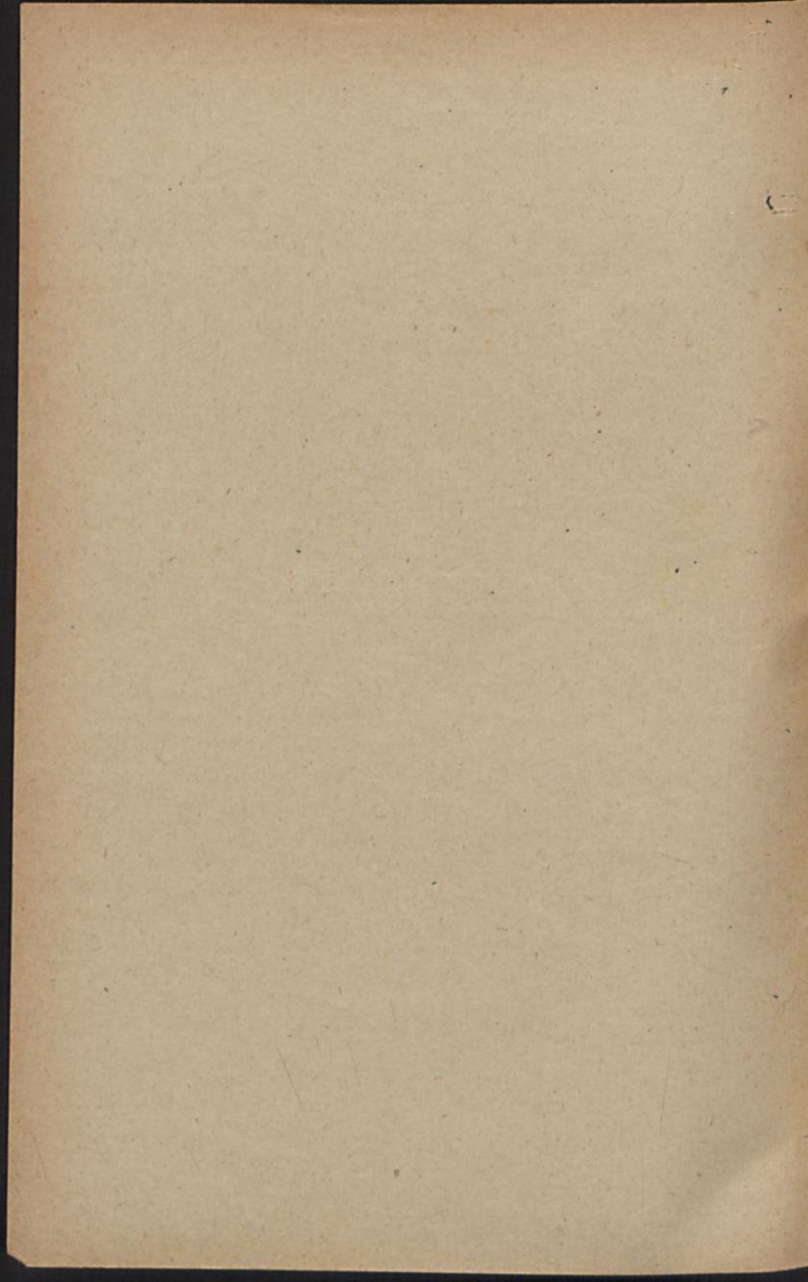
Lulusia była na „Weselu“,
Kiedy wracała z Aix les Bains;
Oglądających miała wielu
I sama przyglądała się.
Patrzała, z kąd pochodzą brava,
Wrażenie zaś wyniosła, że
Intryga nie jest dość ciekawa,
A w końcu tańczą bardzo źle.

Teraz, Lulusiu, do widzenia,
A wiesz, że zawsze ciebie mam
Za „wszechkrólową wszechstworzenia“,
Za „dar zesłany z nieba nam“.

A jeśli jeszcze z losu padnie
Spotkać się gdzie wśród świata scen,
Jeżeli grzecznie i układnie
Poprosisz mię: to d. c. n.



Król Kazimierz



Jakoby dzwon z dalekiej, odległej wieży
uderzył, tak dźwięczy imię: Piast.

Z dalekiej, odległej wieżycy...

Pany to dumne, śmiałe i ogromne, włado-
ludy potężne, coś, jakby baśni...

Jakoby baśni stara, prawieczna, jakoby
z lasu starego otwierała się czeluść ciemna,
a z niej, pomiędzy uplotu konarów i gałęzi
szła pieśń.

Lub jakoby z czeluści takiej leśnej, ze sta-
rego lasu, patrzała z miedzi przyczerniałej
twarz, niby miesiąc z chmur.

Oczy potężne, jako jeziora świetne w ostrem
zimnie porannem w górach; broda długa, kę-
dzierzawa; czoło, jak stal obucha, odwróco-
nego ku patrzącym topora; wąsy długie, z chłop-
ska; i usta rozkazodawcze; korona na głowie
złota, rubinami sadzona — — to Piastowie,

Książęta i króle.

Przewity błyskami piorunów, trwałemi, zastygłemi nieruchomemi — ów las, z kąd twarz królewską widno.

Znak ich mocy umartej.

Jako węże gięte, złote, przewinne pośród konarów, świecą zastygłe, zalęgłe, umarte błyskawice woli królewskiej.

Piastowie...

To tak, jakoby sen.

Zali nie śniło się tylko, że byli?

Zali nie śnił Bolesław Chrobry, Bolesław Śmiały, Bolesław Krzywousty, Łokietek, Kazimierz Wielki i ojciec ich, praojciec kołodziej Piast?

I jestże gdzie cenniejsza, większa legenda królewska?

Jestże gdzie piękniejszy królów początek? Większą poezją owiany? Z chłopów, przez anioły od Boga zesłane,wołany wstaje król i królem ojcem jest sławnym przez wieki władującym.

Ale nie zostało też nic, oprócz poezyi.

Olbrzymi chór dzwonów — a co dzwon, to inny dźwięk.

A to są imiona książąt i królów Piastów i panien Piastowskich, dzwony srebrne i złote, i brylantowe, i jako surmy, i kotły wojenne, i jako harfy miłosne.

Byłaż gdzie kiedy dynastya bujniejsza,
bardziej królewska, bardziej pańska?

To nie byli urzędowi dorobkowice, jak
późniejsza arystokracya polska,—to byli chłopi,
przez anioły Boskie na tron posadzeni.

Miło mi, jakoby pod dębem szumem, pod
cieniem pamięci i sławy Piastów sięść.

Morze wieków pieni się przedemną, przedemną,
przewalają się fale królów, cesarów,
faraonów, sułtanów, imperatorów, i rexów
i bazyleusów pradawnej Grecyi.

Od niniwskich dawnych panów, od panów
Egiptu i Assyryi...

W tem morzu płynie fala ze spiżu i złota
— — to Piastowie.

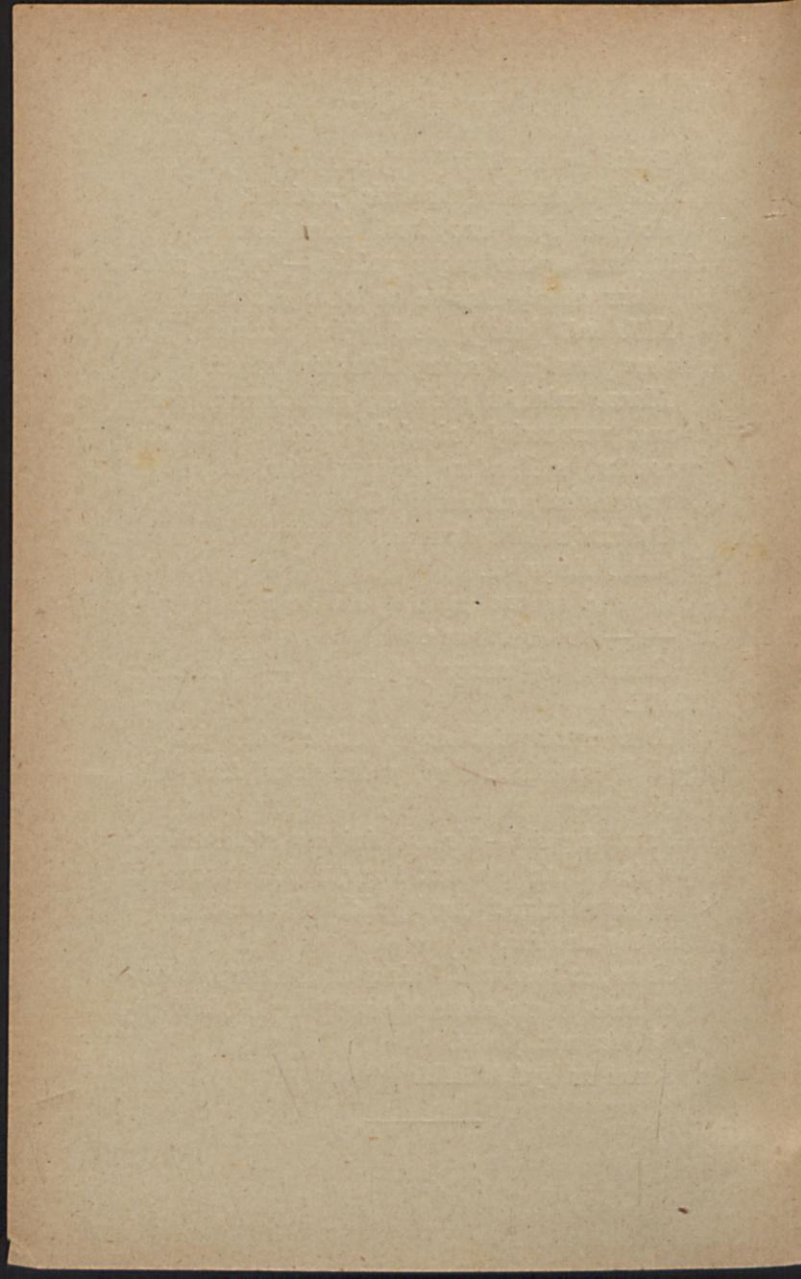
Ostatni, ogromny jej karb — Kazimierz
Wielki.

A w wyobraźni mojej staje tak, jak go
pojął Wyspiański: trup, pełen największej powagi.

Jemu się śni—ale nie śni mu się wielkość
jego domu, ani smutek i zgryzota, iż schodzi
ze świata ostatni król polski Piastowski —
jemu się śni los,

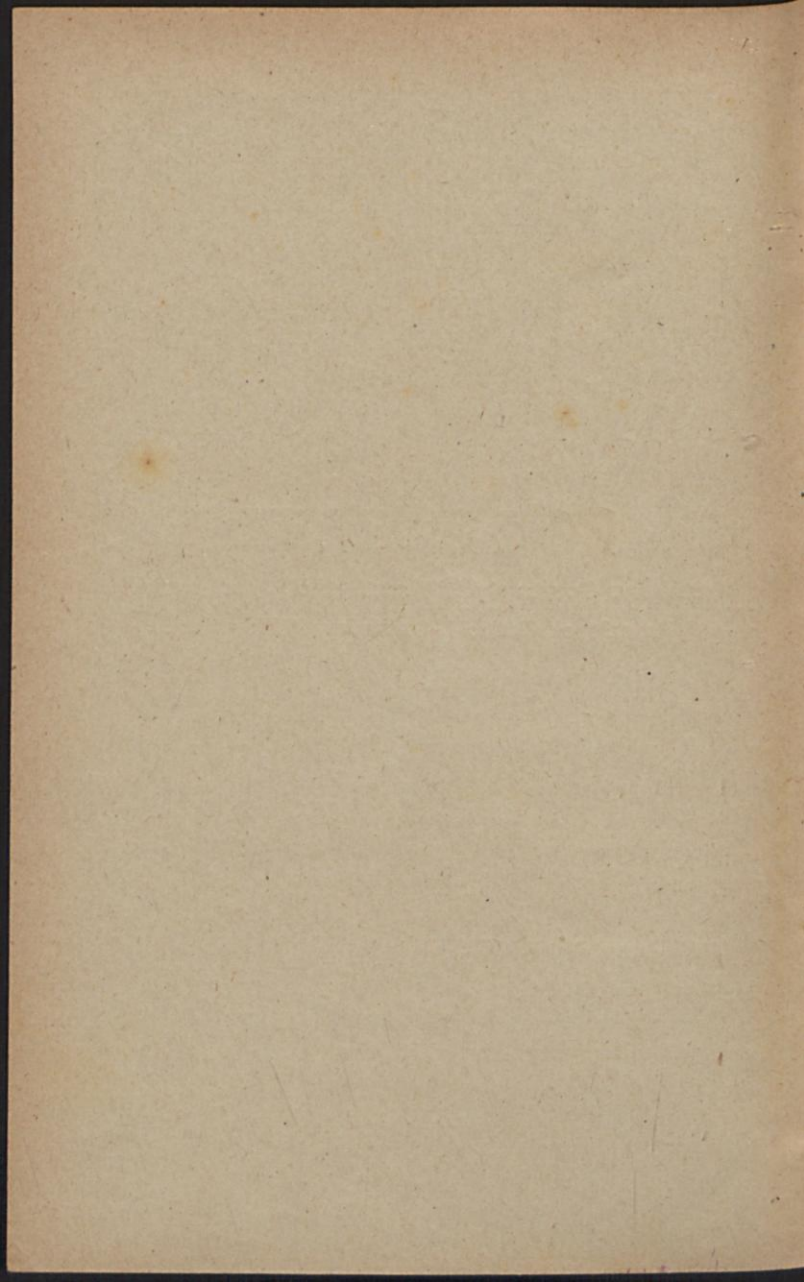
Jemu, co zostawił Polskę murowaną, a który
w swoim majestacie patrzy na Polski ruinę
i beznadziejność.

Jemu co był Wielki.



POECI TATR.

(Seweryn Goszczyński, Wincenty Pol, Adam Asnyk,
Franciszek Nowicki, Stanisław Witkiewicz).



Nikt nie może mieć dziś pojęcia o tem, co uczul Goszczyński, kiedy po raz pierwszy ujrzał od Leonostwa Tetmajerów z łopuszniańskich wierchów za doliną Nowotarską, Tatry. Tego wrażenia, tego czaru nikt już na ziemi polskiej nie doświadczy. Stał on przed tajemnicą jakąś, dziwną, groźną, przepiękną i wspaniałą, przed jakimś zaczarowaniem królewskim iście królestwem, przed czemś dziewiczem, nawskroś nietkniętem. I wszedł tam, jak w istotną „ziemię czarów.“ Uwierzył we wszystko, co tam było jeszcze żywą legendą, wierzył tem chętniej i łatwiej, że wiarę w nadprzyrodzoność, w cnotę, w świat pozazmysłowy miał wrodzoną i jako jeden z najgorliwszych Towiańczyków żywot zakończył.

Dziwnem zdarzeniem człowiek z dolin,

Ukrainiec, „Lach“ mówiąc po góralsku, jest pierwszym poetą Tatr. (Józefa Przerwy-Tetmajera, który w 1828 r. wydał tom poezji lirycznych, w części opiewających rodzinne jego Tatry, nie można brać w rachubę dla zbyt małego talentu). A Tatry jego również jak on sam i jak cała jego poezja: ponure, dzikie, groźne, surowe, mgliste i jednotonne. Goszczyński, talent mało bogaty, pozbawiony zupełnie żywości barw i zdolności wchłaniania w siebie i odtwarzania zewnętrznego świata, cały pogrążony w jednym głębokim i tęgim, ale wąskiego koryta nastroju: całe skarby zmarnował, całe skarby zostawił odłogiem. A jakież skarby miał u nóg swoich. Mógł się stać Homerem Tatr, Homerem, który nie tylko wnuków bohaterów, lub ich samych jako starców, ale ich w całej jeszcze pełni młodości i krasy znał! To jest grzech śmiertelny talentu Goszczyńskiego, że potrafił napisać tylko mistyczno-dydaktycznego „Straszego strzelca“; tylko piękną ale za mało doskonałą „Sobótkę“, i tylko „Dziennik podróży do Tatrów“, interesujący właściwie tylko tych, których specjalnie interesuje osoba poety, lub specjalnie interesują Tatry, gdy powinien był zostawić nam je takie, jakich już nikt po nim nie widział i wyśpiewać o nich to, czego już nikt wyśpiewać nie potrafi.

Boć przecież żyli wówczas ci homeryckiej prostoty powagi bacowie, ci homeryckiej chwały zbójnicy, żyły poważne, dostojne gazdiny, obok majestatycznych gazdów, żyły uroczę, pełne leśnych legend dziewczki, obok czarowanych górami parobków, żyło to wszystko, co zostało tylko w podaniu i w mniejszej lub większej parodji. Goszczyński ich puszcza mimo, puszcza mimo cały ten świat; mówi o nim rzeczy ciekawe i piękne, owszem, nicnie uchodzi jego zmysłu obserwacyjnego: ani życie wewnętrzne, ani zewnętrzne Podhalan, zbiera i zapisuje ich pieśni, ich podania, ich obyczaje i zwyczaje, opisuje ich dusze, jak opisał ich strój, owszem on to wszystko widzi i spostrzega, rozumie niesłuchanie ludową pieśń, jej znaczenie dla narodu, jej piękno artystyczne, zachwyca się nią w sposób godny szczerego i niepospolitego poety i mówi o duchowym życiu ludu rzeczy ogromnie głębokie i pełne natchnienia — ale sam nie umie przetworzyć ani w epos, ani w rapsody epickie Tatr nic z tego, co mu się poprostu klębiło przed oczyma.

Opisuje, opowiada—naturę, widoki i wrażenia widoków wspaniale i potężnie, to są arcydzieła odczucia i ogarnięcia zewnętrznego świata—ale stworzyć na tem tle nic nie potrafi.

Stwarza na tle sobie właściwem: „Sobótkę“ i „Strasznego strzelca“. Ponieważ nie ma bezpośredniej obserwacji i wrażliwości, a nie ma jej do tego stopnia, że nie zdola jednego frazesu góralskiego porządnie powtórzyć: idzie za właściwością swego talentu i oddaje pole swojej surowej, dzikiej, ponurej jednostronnej fantazji. Nie pisze o którym Nowobilskim z Białki, albo Sieczce z ówczesnego Zakopanego: jest romantykiem, byronistą, więc cofa się o szereg wieków wstecz i pisze historję o napadzie Tatarów na Podhale, w której nadaje Góralom balladowo-romantyczno-internacjonalne kształty, tak, że ów Kiczora, owa Salka, ów Janosz, ów Ludek mogliby równie dobrze urodzić się w lasach pod Duesseldorfem, albo Sewillą, jak pod Nowymtargiem, a uczucia bohaterów, wszystko to, co mówią, myślą i robią jest pozbawione cech rasowych. To tylko, co go specjalnie zajmowało i co specjalnie odczuwał, naturę, pejzaż i nadprzyrodzony świat, to chwyta i to dotwarza w „Sobótkę“ miejscami po mistrzowsku. Śliczny jest np. ten wiersz:

Szczęśliwe oczy, szczęśliwe kroki,
co świat dziwożon nawiedzić mogą;
alabastrowe wszystkie opoki,
najdroższy kamień leży pod nogą

Wszystkie tam wody płyną kryształem,
każda kropelka spada perelką;
mosty ze złota w państwie ich całem,
a z djamentu każde światelko.

Wielkie pod niebo są nasze skały,
perlami rosy toczą się nasze;
nasze potoki jako kryształy,
a jak noc świeże bory i pasze.

Bo u dziwożon nasz kraj się kluje,
bo u nich każdy zdrój się poczyną,
bo je wypieszcza, bo im wartuje
dzika, podziemna, lecz hal rodzina.

Śliczny także, jedyny w swoim rodzaju je-
den z najpiękniejszych w ogóle fragmentów
poezji tatrzańskiej jest ustęp:

Między pnie świerków, między cienia smugi,
Snują się gęsto postacie kobiece;
Czapki na głowach, w nieładzie włos długi,
Rozwiana odzież, okopciałe lice —
U czapek sterczą bezkwietne paprocie;
A oczy świecą, jak w ciemnościach kocie.
Czasem się skupią, czasem się rozbiegą;
I tu i owdzie badają ciekawie,
Niby nierade i rade, zabawie;
W ich niepokoju coś dziwnie straszego.
Wilki pod krzami czają się gromadą —
A w gęstwie wyższej nocnych ptaków stado.
I wszyscy w płomień wpatrują się święty,
Jakby go w oczy na cały rok brali;
Opodal węzów różnobarwne skręty,

Świeci odbłaskiem zwierciadlanej stali,
Większy nad inne, i cudnej piękności,
Waż, co ma grzebień złocistej jasności —
Królem on węzów zwany u górali.
A w większym mroku widziadła człowiecze
Na widmach końskich mkną się lasem chyżo;
Strzały na plecach, u bioder ich miecze,
Czasem nad brzegi lasu się przybliżą —
I groźnym wzrokiem strzelą przez drzew szpilki.
Oko ich wązkie, jako ślad iskierki
I pierś i głowa, jak w owcy kołtunach;
Gdzie się przybliżą odezwą się wilki,
Sowa ciekawie zaziera przez świerki
I wrony krążą w śmiertelnych całunach.
Tu się pokażą, tu nikną w mrok głuchy;
A zawsze szybko i cicho, jak duchy.
Nieżywa głowa skacze w ślad za niemi
Z okiem rozwartem, z ustami ściętymi,
Zdaje się ciągle szpiegować ich ruchy.
To długie włosy, jak skrzydła roztoczy
I bystrym ptakiem zagwiżdże w gęstwinie,
To znowu w skrzele długie włosy zwinie,
I rybą idzie w podziemne głębinie,
Aż znów z pod ziemi, jak z wody wyskoczy.

Ależ bo wówczas ziemio staroświecka: —

powie dalej Goszczyński —

Dzisiejsze dziwy dziwami nie były:
Grały widomie niewidome siły,
I pilnowały człowieka, jak dziecka.
W powietrzu, w drzewach, w kamieniu, pod wodą
Krewne uczucia ludzie znajdowali...

ustęp, którego nie powinien tu kłaść, jako artysta, a który jednak czyni tego poetę jakimś droгим i dziwnie sympatycznym. I cała „Sobótka“ właściwie ma tylko tyle większej wartości, ile daje kilka kartek mitologii podhalskiej i kilka kartek opisowych.

Mija jakiś czas—po Goszczyńskim (który zresztą w Tatrach do samej śmierci przyjeżdżał, ale już o Tatrach nie pisał), zjawia się w Zakopanem, Wincenty Pol. Nie widzi, nie odczuwa, nie rozumie uroczysk, tajemnic, grozy, otchłannego światła Tatr, ale rzuca od jednego zamachu wiersz, który go czyni nieśmiertelnym, tak długotrwałym, jak Tatry, wiersz, który stał się własnością narodu, który nie zaginie, choćby imię poety zaginęło, najprostsze i najpiękniejsze, co o Tatrach napisano:

Jak potopu świata fale
Zamrożone w swoim biegu
Stoją nagie Tatry w śniegu,
By graniczny słup zuchwale!
Biodra Tatrów las osłania;
Po nad niemi stoi chmura,
A po halach wiatr przegania
Uronione orle pióra.
Świat to chłodny — a Łomnica
Świeci polskiej ziemi do dnia
Nad Tatrami, jak pochodnia,
A na pełni, jak gromnica...

Każda skała z tobą gada,
Wiatr, co w równiach ledwo wieje,
Z nóg tam garnie—deszcz, co pada,
To już w turniach śniegiem sieje.
A powyżej, wyżej jeszcze,
Płyną sobie orle wieszczę.
Gdy wyleci i zawisnie
Na błękiecie bez obłoku
I do koła okiem błysnie:
Widne stamtąd jego oku
Okolicznych wieżyc dachy,
Polskie puszcze i ziemice,
Krakowskiego zamku gmachy
I węgierskich gór winnice...

Jak Goszczyński cudowność, nadprzyrodzoność i nadzwyczajność w stosunku do reszty kraju Tatr wziął z pierwszej ręki, kiedy ludzi wiarą była legenda, a góry nieznanne prawie, miały czar, który potem utraciły na zawsze, również jak zdolność stwarzania legend; które także na zawsze straciły: tak Pol ze stanowiska Polaka i zwiedzającego swoją ziemię rodzinną i odkrywającego ją jeszcze tu i owdzie dla braci, mógł ujrzeć Tatry nowe, niewidziane, niewidywane prawie jeszcze przez ludzi i mógł tak naiwnie, tak dziecinnie, tak pierwotnie, tak cudownie naiwnie, dziecinnie i pierwotnie okrzyknąć czy wykrzyknąć w zachwycie, jakie one są i jak wyglądają. Wszystkie najszlachetniejsze i najkunsztowniejsze opisy Tatr muszą ustąpić przed

tym wierszem z „Pieśni o ziemi naszej“, jak nad wszelkie do nich inwokacje górować będzie zawsze nieśmiertelne:

„W góry, w góry, miły bracie,
tam swoboda czeka na cię!...“

Idzie potem w „Pieśniach Janusza“ cały szereg opowiadań o góralszczyźnie, cały szereg rzeczy już zupełnie średniej poetyckiej wartości, gdzie górale mówią, jak z książki, góralki, jak w teatrze amatorskim, w amatorskiej sztuce. Pol gawędzi o Tatrach w sposób sobie właściwy i ze swoją zwykłą denerwującą manierą, ściągając wszystko do jakiegoś folwarcznego tonu, zdobywając się już tylko od czasu do czasu na głębsze uczucia:

„Po co my nosim naszą nędzę w góry?“

lub silniejszy wyraz:

„Odwiecznych granic strażnice Piastowe!
zdawnaście znane, a zawszeście nowe!“

Znów szereg lat i poczyną zwiedzać Tatry Adam Asnyk.

Tatry są już „m o d e r n“. Są już przewodnicy fachowi, choć jeszcze z dawnych strzelców pochodzą, góry są już znane, robią się już formalne wycieczki, rozpoczął się nowożytny okres Tatr. „Milowe lodem zasłane doliny“ Goszczyńskiego, który Tatr znalazł kontu-

ry i śnił o nich cuda, przeszły wraz z dziwożonami, uciętymi głowami, co się same toczą polem, następna epoka Pola, średniowieczna, pełna naiwności w stosunku do górali i do gór, przedewszystkiem patryjotyczna, przebrzmiała. Adam Asnyk Tatry zwiedza jak człowiek, szukający przedewszystkiem wrażeń jako turysta i artysta, nie ma już pierwotnej wrażliwości na nadprzyrodzoność, która nie istnieje więcej, którą Asnyk nawet wyśmiewa, pejzażem nie zachwyca się, jak Goszczyński, stojący przed czemś niebyłym dotąd, ani jak Pol nie bierze go przedewszystkiem z patryjotycznego stanowiska, ale patrzy nań jak subtelny i wytworny artysta, znajdujący nagle ogromny, świeży materiał wrażeń, którym ulega potężnie i głęboko. Powstaje szereg poematów jak w ogóle poezja Asnyka: doskonałych w formie, poważnych myślą, rzadko fantastycznych, przeważnie refleksyjnych i chłodnych, a zatem jednak zupełnie prozaicznych, a liczących się do poezji tylko dzięki rymom. (Wiadomo, że u żadnego z polskich poetów poezja tak często nie jest niczem innem, jak tylko piękną prozą na wiersz przerobioną, jak u Asnyka). Asnyk miał umysł poważny i filozoficzny, mądry był, ale miał mało wyobraźni i mało siły wyrazu i mało natchnienia — dlatego nie tonąca w bezdni bytu, bardzo

piękna „Noc pod wysoką“, nie (zimne, jak jego woda) opisowo-refleksyjne „Morskie oko“, nie dydaktyczna i retoryczna „Matka ziemia, dobra karmicielka“, ale artystycznie prześliczny, koronkowo dziergany „Ranek w górach“

„wyzłoczone słońcem szczyty
już różowo w górze płoną
i pogodnie lśnią błękity
nad pogiętych skał koroną.

Każdy zakręt, każdy załom
wyskakuje, żywy, dumny;
słońce dało życie skałom,
rzeźbiąc światłem ich kolumny...

Pierś się wznosi, pierś się wzdyma
i powietrze chciwie chwyta;
dusza wybiec chce oczyma
upojona, a nie syta...”

ale najpiękniejsza idylla, jaką ktokolwiek kiedykolwiek o Tatrach napisał

„oto tatrzańska sielanka
łagodną wabi ponętą,
jak dziewczę, co uśmiechniętą
twarzyczką wita kochanka...

Zielona skacze dolina
przez strumień z brzegu do brzegu;
gdzie potok wstrzyma ją w biegu,
na góry łączką się wspina...
do Kościeliska...”

ale „Letni wieczór“

„już zaszedł nad doliną
złocisty słońca krąg;
ciche odgłosy płyną
z zielonych pól i łąk“

są najlepszymi rzeczami tatrzańskimi Asnyka i w ogóle najczarowniejszymi, najsubtelniejszymi, najśpiwniejszymi poezjami, jakie o Tatrach wogóle napisano.

I znów mija przeciąg lat, ale epoka jest ciągle ta sama. Po Asnyku, którego tylko jeden z „klejnotów w koronie“ nazywa się Tatry, zjawia się figura, której całą chwałą i sławą są jedynie tylko Tatry, figura dziwna, pół student, pół jakiś wódz duchowy narodu, pół artysta, pół ideolog, człowiek o formie poczętej z Mickiewicza, o myślach nie swoich, tylko powszechnych, o uczuciach starych, jak świat — a jednak mówiący swoim własnym wierszem, niezależny od nikogo, myślący własnym mózgiem, czujący własnem, głęboko, bardzo głęboko czującym sercem, i wywalający sobie wyłom w murze pamięci ludzkiej garstką sonetów, które nie są wcale doskonałe. Figura obłąkana dziecinnością i dzieciństwem swego natchnienia, przygnębiająca doskonałością i starością swego smutku, olśniewająca wysokością i górnością swe-

go lotu. Poeta bez wątpienia noszący w sobie zarodki ogromnego talentu na wielką skalę—umilkły od lat blisko ośmnastu po napisaniu samych tylko rzeczy drobnych i fragmentów obecnie w sile wieku najzupełniejszej, Franciszek Nowicki.

Temu się Tatry objawiły zupełnie nowo. Co o nich czytał, zapomniał, co o nich wiedział, niepamiętał. Włazł w nie, jak nikt z piszących przed tem, i zaczął pisać, wszystko czerniąc swoją melancholiczną wyobraźnią, wszystko wyolbrzymiając jakąś gigantycznością swojej wizji. Zaczyna, jak młotem.

Wielki, jak sny młodości—mroźny kraj śniegowy
Gdzie król bórz—halny orkan—błądzi w szacie mro-
(ków...”

Skalny kociel!... dno jego lód ze śniegiem ścieli,
Czarne łyse urwiska tego kotła ściany;

To piekła zamrożone!... pierzchły zeń szatany
I zamarzły skał rzędem dokoła gardzieli“...

Czarodziejski obraz!

„Morskie oko“ z tym naiwnym księżycem
który kiedyś młody i płomienny

Kochał ziemię i patrzył, w jej źrenicę cudną,
Aż zdradzony dla słońca uciekł za świat dzienny...

Lecz zapomnieć kochanki swej młodości trudno!
Wiecznie ku niej powraca wygasły, bezsenny
I błądy patrzy na nią...”

I przychodzi ten wiersz „Echa górskie“:
„W noc czarną, pędząc w góry szalony i błądy,
jęknąłem, przeklinając zbiegłe marzeń duchy—
i wzruszyłem mą skargą palącą bór głuchy,
powtórzyły ją świerków posępne gromady.

...Zawodziły nademną gór płaczek łańcuchy
...i otchłań mi wtórzyła...

Jęk mój skały wtórzyły!...

Za nią... za tą kobietą głuchą, jak niebiosy,
nie jęczałem, lecz wyłem... a nie było echa...

Sonet w opuszczonych miejscach zupełnie
słaby — niemniej w całości straszliwie silny.

I najpiękniejszy ze wszystkich sonetów,
godny krymskich wierszy Mickiewicza, jeden
z najwspanialszych wierszy polskich.

„Szum... huk... ryk... (wiatr halny) drży w posadach
tatrzański gród skalny!

Może Mnich, piekiel dusza, mrokiem bórz okryty,
rozchulał się po turniach i strąca gór szczyty?
Nie, to burza nad burze—król wichrów—wiatr halny!

...Wyrwał hali włos kwiecica, grzbiet nagi zostawił,
wodospady zatrzymał, potok wstecz wyprawił,
ścisnął gardło piorunu, dzień zgasił, noc sprawił.
Gdzie tchnął—śmierć tam zostawił, gdzie przeszedł
(zwaliska...“

Bajeczny wiersz.

I Asnyk i Nowicki pisali o górach i pod
wpływem gór; nie tykali górali (wiersza As-
nyka „Przewodnikowi Maciejowi Sieczce“

nie można w ten rodzaj poezji wliczać), aż znów pojawił się na horyzoncie podhalańskim zdumiewający talent literacki: Stanisław Witkiewicz. W jednej chwili w pomnikowym dziele „Na przełęczy“, w klasycznych szkicach „Na umarcie“ i „Wojtek Gandara“ stanęli przed oczyma Górale. I znowu nie uczynił tego nikt z Galicji, ale Litwin, z borów i lasów. Z niesłychanym temperamentem, z nieporównanym zmysłem obserwacyjnym, z olbrzymim darem lingwistycznym i — nade wszystko — z bohaterskim zupełnie umiłowaniem rzeczy wykrzesał i odkrzesał Witkiewicz owych Jaśków, Szymków, Staszków, owych ludzi, którzy „nigdy nie szli, oni zawsze lecieli“, owych raubszyców i zbójników, juhasów, gazdów, gaździne, parobków i dziewczek, — odtworzył cały świat ten, który jest, i ten, który był, a którego nie umiał tknąć się Goszczyński, a najniedoleźniej tknął się Pol. Ci dawni, za pamięci Witkiewicza wymierający, już bezpowrotnie szumni podhalanie, powstałi pełni „młodości i krasy“, i on dał początek utrwaleniu najhomeryczniejszych ludzi w ostatniej dobie Polski w pamięci polskiej. Związał, skupił, skłął w jedno — życie pod górami i w górach, opowiadając, co widział i słyszał, a w szkicach swoich nowelistycznych dał arcydzieła charakterystyki i za-

dziwił zdolnością wczucia się w obcy sobie żywioł.

Są jeszcze inni poeci Tatr, ale mówić chciałem tylko o tych, którzy już nie żyją i należą do historii literatury, lub o których wydaje mi się, że epokę twórczości Tatr dotyczącą zamknęli (jeśli się mylę, tem lepiej)—dlatego nie wciągam w zakres mego szkicu przedewszystkiem wspaniałych poezji Kasprowicza, ani świetnych rzeczy Orkana. Z tych poetów, o których mówiłem, rzeczywiście trudno komuś oddać pierwszeństwo: Pol odpada cały, gdyby nie owe „jak potopu świata fale“; Goszczyński jest bez porównania mniejszym artystą, niż Asnyk, ale jest nierównie gorętszem, romantyczniejszym, bujniejszym sercem; Nowicki zdumiewa swoją zamkniętą skoncentrowaną osobowością i wpakowaniem jej z taką mocą i z takim naciskiem w góry, jak nikt przed nim i nikt po nim nie potrafił; Witkiewicz zdumiewa swoim niesłychanym *talentem*. Wszyscy oni przynieśli w Tatry zupełnie odmienne temperamenty, zupełnie inną naturę wewnętrzną i zupełnie inną wrażliwość, są do siebie nawskroś niepodobni i najabsolutniej od siebie niezależni. Sonety Asnyka i sonety Nowickiego są tak różne, choć nawet tego samego dotyczą tematu (Morskie Oko np.), jak różnem jest to, co mówią o góralach Goszczyński i Witkiewicz,

choć także tych samych tkną tematów. Każdy z tych czterech patrzył swojemi własnymi świeżemi oczyma i stwarzał swój nowy własny świat, a to jest właściwie cechą prawdziwych poetów—który z nich dał najdoskonalwsze dzieło o Tatrach, to jest całość swej pracy w tym kierunku? Goszczyński jest fragmentaryczny, bezładny, bardzo często fałszywie słyszący i widzący realne rzeczy; Asnyk oprócz arcydzieł dał w „Tatrach“ całe kartki retoryki i nienatchnionego mówienia; Nowicki do pysznych „Obrazów pustyni“ przyczepił ogon nieudanych „Tragedji pustyni“ i bardzo słabych „Ech pustyni“ — bezwątpienia najdoskonalsze dzieło o Tatrach dał Witkiewicz. Nigdy nie jest chwilowo tak natchniony, jak Goszczyński, Asnyk, lub Nowicki, ale bajeczny jego talent pisarski utrzymuje go zawsze na pewnej równej wyżynie, a bajeczny zmysł obserwacyjny strzeże go od fałszywych tonów.

Byli jeszcze dwaj poeci, którzy szukali Tatr dla swojej poezji — Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki.

Mickiewicz tam rozpoczął swój dramat „Konfederaci barscy“ Słowacki wplótł Tatry we fragmenta dramatu o Beniowskim. Ani jeden, ani drugi nigdy Tatr nie widzieli: Słowacki zaludnił je huculami, Mickiewicz zaś

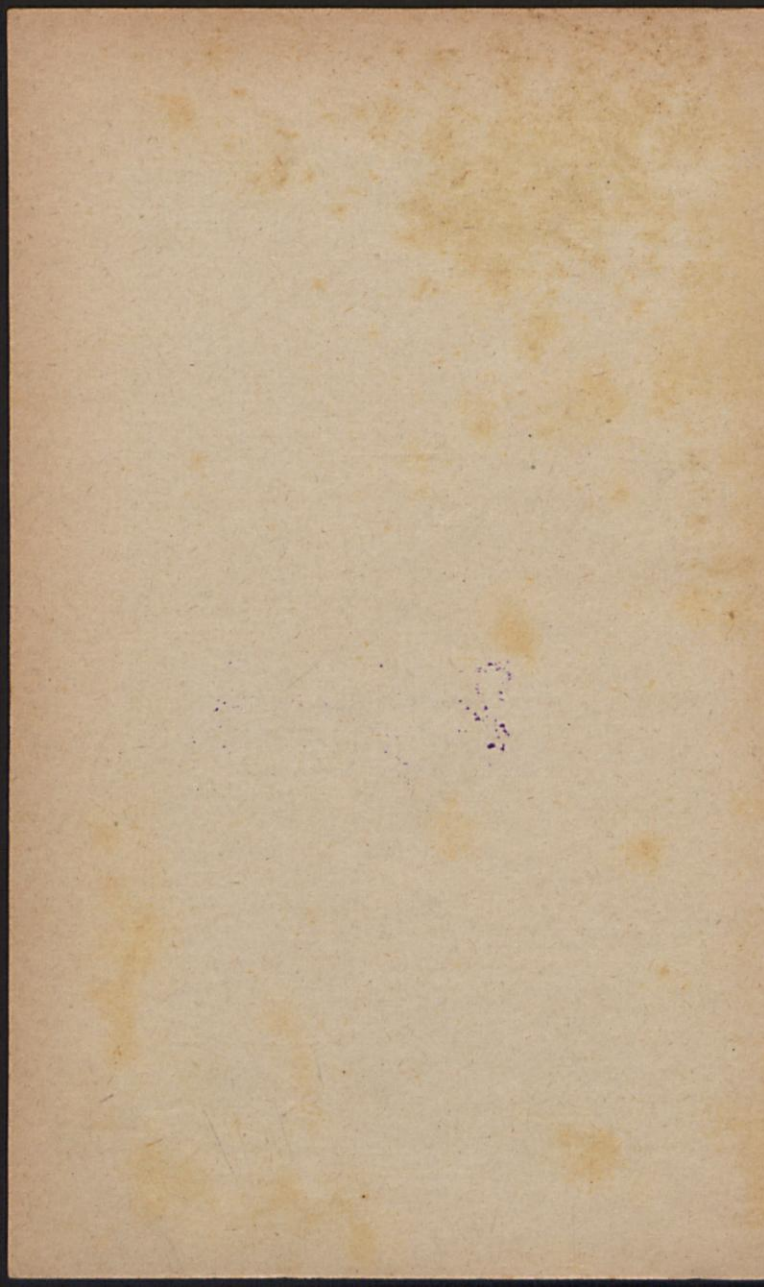
pomieszał Tatry z krakowskiem przedgórzem, a to, co napisali o nich, ogranicza się do kilkunastu słów, które o tyle tylko są warte wspomnienia, że są słowami Mickiewicza i Słowackiego.

Dla tych największych poetów polskich najpiękniejsza część ziemi polskiej nie stała się źródłem natchnienia i straconą została nazawsze. „Szkoła Tatr“ powinna jednak wiedzieć, że i oni Tatr tknęli.

Jaką ona będzie, ta szkoła, co przyniesie? Ma złe przykłady w „szkole jezior“ w Anglii i w naszej „ukraińskiej szkole“, z których żadna nie wydała pomnikowego dzieła w swoim zakresie; być może, że tu będzie lepiej. Najwięcej warunków miał dotychczas Witkiewicz, będąc najwszechstronniejszym,—niestety jednak jego swada pisarska i jego dar spostrzegawczy nie stoją w żadnym stosunku z jego zdolnością twórczą, z jego wyobraźnią stwarzającą. Tej ma zupełnie mało, a tu nie można, choćby najświetniej, powtarzać i odtwarzać—tu trzeba tworzyć. Tego daru miał najwięcej Goszczyński—brakło mu znów innych przymiotów. Wogóle „szkoła Tatr“ i dawniejsza i obecna, jest jakgdyby przygotowywaniem gruntu pod jakieś wielkie kapitalne dzieło, pod wielkie homeryckie epos, jednoczące w sobie wszystko to, co Tatry

mają w sobie i co miały w przeszłości. Tątry żądają tego poprostu dla siebie, a naród ma prawo spodziewać się i oczekiwać. Tymczasem szkoła rośnie i rozwija się i jest dziś jedyną geograficzną szkołą literacką w kraju.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. JANA ZAMOYSKIEGO
w Zamościu.



~~2416~~

KUNCEWICZ I HOFMAN

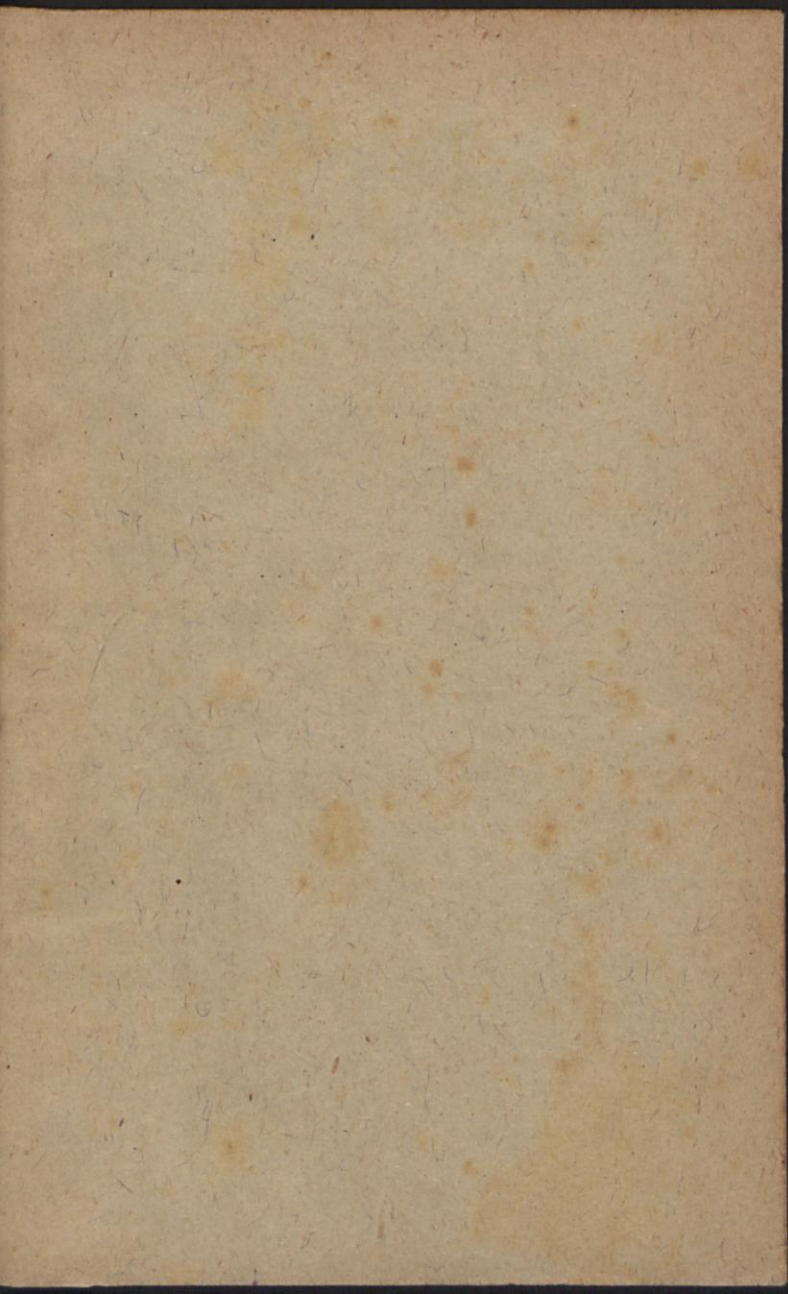
dawniej ST. SADOWSKI

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT

Warszawa, ulica Marszałkowska 91.

poleca wydawnictwa:

- Epiktet.* Podręcznik (Pamiętnik moralności stoickiej) przełożył Józef Jankowski.
- Freytag L. M.* Zmartwychwstanie Chrystusa.
- Jankowski Józef.* Zjawiska psychiczne i ich badanie (Krótki rys metodyki zjawisk psychicznych).
- Jaroszyński T.* Jak patrzeć na dzieła sztuki.
- Jedlicz J.* Korale.
- Jeske-Choiński T.* Teror, powieść historyczna z czasów rewolucji francuskiej 2 tomy.
- Jur J.* Ból życia.
- Kallas A.* Ona i oni, powieść
- Krechowiecki A.* Prawdy i bajki.
- Krzywoszeński S.* Rusałka.
- Lutosławski W.* Bądźmy ludźmi.
- Mar J.* Historia dwojga ludzi.
- Michałowski Z.* Do celu.
- Miciński T.* Nauczycielka (Dęby Czarnobylskie)
- " Walka o Chrystusa.
- Nowaczyński.* Co czasy niosą.
- Rydel Ł.* Z Greckiego świata.
- Sedir.* Droga prawdziwa do Boga prawdziwego.
- " Obowiązek duchowy, przekład Józefa Jankowskiego.
- " O prawdziwej religii.
- " Pieśń nad pieśniami (próba wytłumaczenia) przełożył Józef Jankowski.
- " Siedem ogrodów mistycznych.
- " Siły mistyczne i sprawowanie życiowe, przełożył Józef Jankowski.
- " Wtajemniczenia, powieść przełożył Józef Jankowski.
- " Wykłady Ewangelji (Lata Dziecięce Chrystusa) przełożył J. Jankowski.
- Suszczyńska A.* Melisto, powieść.
- Szysło W.* Małe Antyle i Jamajka, z ilustracjami.
- Wroński-Hoene.* Poręczenie religijne Mesyanizmu.
- " " Propedeutyka Mesjaniczna.
- " " Stworzenie absolutne ludzkości, fragment rękopisu, zawierający krytykę Kantyzmu i Założenie Rzeczywistości Absolutu, przełożył Józef Jankowski.
- " " Tajemnice polityczne Napoleona, przełożył Józef Jankowski.



1402

